Dziś w numerze: Wielki pożar ● Cena nowoczesności ● Przykład ● Satelity przyszłością meteorologii ● Ilustrowany Człowiek ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosu

Nr 13 (375)
3. IV. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

Fot. W. Parys

ANDRZEJ MAKOWIECKI

AZYL POŁAMANYCH KOŚCI

1.

To była inicjatywa Wydziału Zdrowia i paru lekarzy wojskowych zainteresowanych problemem bezpośrednio. To była piękna inicjatywa, i w marcu 1964 roku powstał pierwszy cywilny oddział chirurgii urazowej — u progu Radogoszczy, przy Szpitalu imienia Biegańskiego...

Pisało się z tej okazji w prasie, mówiło w radio, dyskutowało w tramwajach i kawiarniach... radość była — bez przesady — powszechna!

— Nareszcie można łamać kości — oddychali z ulgą łodzianie, i brali narty na ramię, łyżwy pod pachę, a w czasie największych gołoledzi, kiedy to nogi rozjeżdżają się bezwolnie — wychodzili odważnie na ulice...

Jeśli ktoś do losu miał pretensję — to chyba okaleczone ofiary wypadków — ludzie o sztywnych kolanach, poskręcanych kręgosłupach, szyjach przekrzywionych dziwnie, i rękach bez siły, zgrubiałych, z których lewa mogła być karykatura prawej, i odwrotnie — niby od fałszywej pary, podmienione...

Za późno — myśleli pewnie nieszczęśliwcy czytając w prasie o doniosłym wydarzeniu. I: — za wcześnie — dumali — za wcześnie ulegliśmy wypadkowi, bo gdyby dzisiaj złamał któryś nogę w ten nietypowy, specyficzny sposób — zreperowaliby ją bez wątpienia.

A więc — nie! Sprawa nie jest taka prosta...

Reportaż ten postanowiłem napisać celem pokrzepienia nieszczęśliwych, i ku przestrodze tych wszystkich, którzy cieszą się zdrowiem i siłą.

Tym ostatnim pragnę udowodnić, że nie, że jednak z całą pewnością nie, że nie należy łamać kości w Łodzi!

2.

Dr Władysław Wołkowicz był adiunktem kliniki urazowo-ortopedycznej przy WAM, i praca jego na tworzącym się oddziale w Szpitalu im. Biegańskiego — miała zrazu charakter społeczny. Doradzał, planował, wspierał cenną myślą inicjatywę kolegów w cywilu, a że robił to wszystko z dobrej woli, bez ekwiwalentu pieniężnego w zamian — sympatią się cieszył ogromną.

„Panie pułkowniku" — zwracano się do niego równie często jak: „Panie doktorze", bo w owym czasie w mundurze chodził, a mundur tej rangi szacunek budzi — trudno ukryć.

Dwa lata tak mu zbiegły: na pracy społecznej, pośród szacunku i sympatii lekarzy, dyrekcji i administracji Szpitala im. Biegańskiego. Potem, dokładnie: 15 listopada 1965 roku — został przez Wydział Zdrowia wyreklamowany z wojska i mianowany ordynatorem tworzącego się oddziału (oddział pod szyldem: „chirurgia urazowa" — wciąż się tylko tworzył i tworzył, i tworzy się do dzisiaj, a jak wiadomo: słówko „tworzyć" znaczenie ma niedokonane...).

W przyszłość patrzył z optymizmem. Wierzył, że czego zrealizować nie mógł jako doradca, zrealizuje jako kierownik, jako osoba upoważniona i wspierana z góry. To też żywo zabrał się do pracy, która w głównej mierze polegała na zmianie profilu oddziału, na zastąpieniu chirurgii ogólnej (zwanej potocznie „miękką") dotyczącej schorzeń brzucha — woreczków żółciowych, przepuklin i wyrostków — rzeczywistą chirurgią urazową.

3.

Nigdy nie wiadomo z której strony padnie cios — pisał w „Trzecim człowieku" Graham Greene.

Dalszy ciąg na str. 5

EWA OSTROWSKA

ULE BARDZO KOLOROWE

Bednary w powiecie łowickim leżą za słynnym Nieborowem. Jest zimno i wilgotno. W szarym powietrzu rozmazują się kontury niewielkiego, zamkniętego na cztery spusty kościoła. Czy taki zwyczaj jest w Bednarach, że kościół zamyka się przed wiernymi? Przed frontalnym wejściem niedopałki papierosów wgniecione w śnieg. Brudno. W tę fatalną, chandrowatą pogodę kościół wygląda jak trumna, albo jak opuszczony dom, przeznaczony na zniszczenie.

Nieco dalej budynek, w którym mieści się izba, przeznaczona na lekcje religii. Tu mieszka również organista Józef Malcer. Organista Józef Malcer, jego żona, czworo dzieci. Najstarszy syn chodzi do liceum w Łowiczu, najmłodszy pójdzie w tym roku do szkoły.

Jak mieszka organista Józef Malcer? Warto to wiedzieć, zwłaszcza, że się od niego wszystko w Bednarach zaczęło. Od niego poszło. Syn Staniszewskiego, nauczyciel z warszawskiego Technikum Kolejowego powiada, że Malcerzaki to kaleki za życia, to chorzy ludzie. Nauczyciel, człowiek wykształcony, on się zna. Ale nie trzeba się znać, wystarczy odwiedzić organistę Józefa Malcera. Organista ma trzy zagrzybione i wilgotne „pokoje". Wszystkie trzy zmieszczą się w jednym moim. W pierwszej klitce jest kuchnia. W drugiej — ślubne łóżko z czerwoną, wiecznie palącą się na chwałę bożą i Najświętszej Panienki lampką; rozwalający się instrument muzyczny — chyba fisharmonia; zapomniałam zapytać, stół i dwa krzesła, przyparte do ściany, trzeba przechodzić „bokiem" do następnego „apartamentu", gdzie jest łóżko i kawałek szafy. Czworo dzieci śpi w tej ostatniej klitce, wszystkie na jednym łóżku. Najstarszy, który uczy się w liceum i dwie młodsze, które chodzą do powszechniaka, i najmłodszy, który ma cerę ziemistą, szarą jak zgestniałe od deszczu, powietrze nad Bednarami.

Organista Józef Malcer już od ośmiu miesięcy nie otrzymuje od księdza poborów. Żona organisty, aby utrzymać rodzinę wynajmuje się do gospodarzy.

Dlaczego organista Józef Malcer nie dostaje pensji? Różnie mówią. Jedni, że organista nie uzgadniał z księdzem pieśni śpiewanych na mszy. Inni, że się przymówił. Jeszcze inni, że organista odstępował mleko Kozarkom dla ich niemowlęcia.

Wiem, że nie rozumiecie. Ja też nie rozumiałam, bo to zawiła historia. Antoni Kozarek był jednym z kościelnych u księdza Kankiewicza. Podobno ukradł księdzu kury. Podobno — tak mówi ksiądz pleban. Ksiądz pleban starszy człowiek, który kocha pszczoły. Spędza przy nich dużo czasu, przy bardzo ślicznych, bardzo kolorowych ulach.

Ksiądz Kankiewicz przyjechał do Bednar w 1960 roku. Fama plotła, że z poprzedniej parafii w Lubochni wypędzili go ludzie, coś musiało być w niej z prawdy. Księdza Kankiewicza przeniosła do Bednar kuria, a Bednary to placówka dużo mniejsza od Lubochni — nie był to więc awans. Ludzie w Bednarach przyjęli jednak księdza Kankiewicza serdecznie, prosił za nim Wincenty Staniszewski, który ma syna nauczyciela, a sam jest kolejarzem — człowiek z autorytetem, mądry, uczciwy.

Ale księdzu Bednary się nie podobały. Swoje „porządki" rozpoczął od kościelnego, wieloletniego pracownika bednarskiej parafii. „Kościelny jest złodziejem, oświadczył ksiądz, ukradł mi fotel; wy wszyscy jesteście tu złodziejami ukradliście mi fotel". Ba, nie obrażając Bednary trzeba powiedzieć, że ludzie się czasem posadzali o różne rzeczy, że garnek z płotu, że prześcieradło ze sznura, ale fotel? Ksiądz jednak twierdził, że zginął mu fotel za trzy tysiące złotych. Co prawda nikt nigdy takiego fotela u księdza nie widział, lub wszyscy się zmówili, że nie widzieli. Nawet ten i ów powiedział sobie w cichości, że ksiądz pewno chce sobie zwrócić w taki sposób koszty przeprowadzki z Lubochni do Bednar. Było nie było, w każdym razie ksiądz zwolnił kościelnego (ten sam kościelny pracuje teraz przy Dziekanie w Łowiczu, nie wykazując najmniejszych predyspozycji złodziejskich).

Następnie ksiądz zabrał się do ówczesnego organisty, Okraszewskiego. Pod jego adresem wygłosił z ambony wiele niepochlebnych — łagodnie określając — opinii. Może Okraszewski też nie uzgadniał z nowym

Dalszy ciąg na str. 4

ŻE ŚWIATA

Była to niewątpliwie największa sensacja polityczna ostatniego okresu. Adenauer, który przecież całą swoją politykę opierał na przestrzeganiu przed „niebezpieczeństwem", grożącym rzekomo ze strony Związku Radzieckiego, na kongresie CDU oświadczył ni mniej ni więcej:

„Niedawno zdarzyło się w historii świata coś, co moim zdaniem powinno być wysunięte na plan pierwszy we wszystkich gazetach... Było to pokojowe pośrednictwo Związku Radzieckiego między Indiami i Pakistanem... Widzicie panie i panowie — był to dla mnie dowód, że Związek Radziecki wkroczył w szeregi narodów, które pragną pokoju".

Na tymże kongresie, w trzy dni później, Adenauer powtórzył tę samą myśl, chociaż w nieco innej tonacji, stwierdzając, że ZSRR „potrzebuje pokoju".

Prasa zachodnioniemiecka, a później Erhard w oficjalnym wystąpieniu, zareagowali na to nieoczekiwane stanowisko Adenauera zdecydowanie niezprzychylnie.

Odwrotnie — prasa francuska i koła polityczne Paryża. „Combat" na przykład tak skomentował wypowiedź ustępującego przewodniczącego CDU:

„Były kanclerz zrezygnował wreszcie ze swych ataków słownych przeciwko ZSRR i zdał sobie na czas sprawę z pokojowej roli, jaką kraj ten odgrywa w tym czy innym rejonie świata. Nigdy nie jest zbyt późno na to, by stać się realistą".

Oczywiście, nie interesowałoby nas co myśli Adenauer o Związku Radzieckim, gdyby nie to, że to swoje nowe stanowisko przekazał on w formie „testamentu politycznego" nowo wybranym władzom partyjnym, oraz że w ten sposób wyraził wątpliwości, co do celu egzystencji NATO. Tak więc po prostu poparł de Gaulle'a, który nie znajduje obecnie argumentów na utrzymywanie integracji militarnej paktu atlantyckiego, i w najgłębszym konflikcie, jaki ogarnął tę wspólnotę, stanął po jego stronie.

By skontrastować wypowiedź Adenauera — właśnie w tym miejscu przypomnę, że w trzy, czy cztery dni po wystąpieniu byłego kanclerza NRF — prez. Johnson publicznie oświadczył, że Stany Zjednoczone wraz z 13 pozostałymi partnerami Francji zdecydowane są „utrzymać i umocnić siłę odstraszającą NATO".

Rozbieżnościom: Francja — pozostali partnerzy z bloku atlantyckiego, poświęciłem dużo miejsca w poprzednim komentarzu, zajmijmy się więc jeszcze przez chwilę samym XIV zjazdem CDU.

Zakończył się on wyborem nowych władz. Za jedynym kandydatem na przewodniczącego — Erhardem, opowiedziało się trzech z każdych czterech głosujących, co na pewno nie może zadowalać kanclerza NRF.

Również Barzel (przewodniczący frakcji CDU/CSU w parlamencie), który wymieniany był jako ewentualny następca Adenauera, a który kandydował na pierwszego zastępcę przewodniczącego partii, nie ma powodów do radości — co trzeci głosujący wypowiedział się przeciwko niemu.

Wszystko to razem może wskazywać na zarysowujący się kryzys w CDU.

Skoro już dzisiejszy komentarz przebiega pod znakiem NRF, jeszcze kilka słów o tzw. planie „konstruktywnej strategii pokojowej", który Erhard zaprezentował w dniu 26 marca w Bundestagu. Plan ten zawiera 7 punktów, z którymi Bonn zamierza zapoznać rządy 90 krajów.

Plan — uwaga, uwaga! — zawiera apel do państw nie posiadających broni nuklearnej, by poszły za przykładem NRF i.. wyrzekły się produkcji tej broni. Podkreślam: p r o d u k c j i, boć przecież Bundeswehra ani myśli o zrezygnowaniu z jej posiadania na innej drodze i z innych źródeł.

W piątym punkcie „konstruktywnej strategii" — a jakże — mowa jest także o nas, „o pojednaniu z Europą wschodnią", z ZSRR, Polską, Czechosłowacją... Jednak, by nie było wątpliwości, że chodzi tu o uznanie realiów politycznych, Erhard szybko wyjaśnia, iż rząd federalny stoi na stanowisku granic z 1937 roku. Zdaniem jego, wskazany byłby dialog polsko-niemiecki, który ułatwiłby wzajemne zrozumienie. A więc propozycja rozmów na temat granic na Odrze i Nysie? Granic, które są p o z a w s z e l k ą d y s k u s j ą, i o czym kanclerz NRF dobrze wie?

Wreszcie Erhard — na przekór wypowiedzi Adenauera — mówi o zagrożeniu Zachodu ze strony radzieckiego potencjału militarnego. (Rząd radziecki — za pośrednictwem amb. Smirnowa — stanowczo zaprotestował przeciwko temu.)

To podkreślenie ma uzasadniać potrzebę utrzymania organizacji wojskowej NATO.

Tak mniej więcej przedstawia się plan „konstruktywnej strategii pokojowej" NRF.

Pikantności owemu planowi dodaje portugalska podróż min. Schroedera, który witany jako przedstawiciel kraju bezpośrednio nastawionego na „nawał sił ze Wschodu", dyskutował krytyczną sytuację w NATO oraz... interesował się, kiedy wreszcie oddana zostanie do pełnej eksploatacji baza zachodnioniemieckiego lotnictwa wojskowego w Portugalii. Dodajmy, że baza ma być obsługiwana przez pięciotysięczną załogę Luftwaffe.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

● **Prezydent Wietnamskiej Republiki Demokratycznej Ho Chi Minh: „W walce przeciwko amerykańskiej agresji będziemy natrafiać na trudności, jednakże w końcu Stany Zjednoczone muszą ponieść porażkę, a Wietnam musi zwyciężyć".**

● **Prasa Chińskiej Republiki Ludowej przypomniała w swych komentarzach 20 rocznicę sformułowania przez przewodniczącego Mao Tse-tunga znanej tezy, że imperializm jest papierowym tygrysem. „Imperializm USA — pisze miesięcznik młodzieży — papierowy tygrys, w kolejnych walkach zwyciężany jest przez ludy świata. Uciskane narody i masy, aczkolwiek z pozoru słabe, są obecnie znacznie potężniejsze niż kolos USA. Na szyi imperializmu amerykańskiego zaciska się stryczek i zostanie on wkrótce powieszony przez narody całego świata".**

En Garde!

● **Wiceprezydenta USA Huberta Humphreya powitała burzliwa demonstracja antywojenna, kiedy przybył do Nowej Zelandii. Na czele demonstracji kroczył Amerykanin-nauczyciel, który przebywa w Nowej Zelandii na rządowym stypendium USA.**

● **57 spółdzielni produkcyjnych w Bułgarii za zgodą swych członków przekształconych zostało w państwowe gospodarstwa rolne.**

● **W Kanadzie przebywały na 3-miesięcznych ćwiczeniach zimowych oddziały zachodnioniemieckiej Bundeswehry, pod czas których wypróbowywano broń pancerną i rakietową w warunkach „zbliżonych do klimatu rosyjskiej zimy".**

● **Z przemówienia E. Kardelja na III Plenum KC ZKJ: Analizując tezy Marksa „staje się oczywiste, że Marksowi nigdy do głowy nawet nie przyszło traktowanie własności społecznej jako własności etatystycznej. Dla Marksa własnością społeczną było właśnie to, o co my walczymy".**

Kto żąda, aby grano z nim w otwarte karty, zwykle posiada wszystkie atuty w ręku.

Robert Frost — poeta

● **Jeden z czołowych historyków brytyjskich Basil Lidell Hart w artykule opublikowanym w magazynie „Encounter" stwierdza, iż Winston Churchill nie był tak wielkim strategiem wojennym, za jakiego go się uważa. Churchill był nieco więcej niż „porucznikiem" przy prezydencie Roosevelcie w czasie drugiej wojny światowej. Historyk brytyjski obwinia Churchilla za opóźnienia w zbrojeniach Anglii, co spowodowało jej nieprzygotowanie do wojny w 1939 roku. Najogólniej rzecz biorąc — pisze angielski historyk — Churchill nie rozumiał współczesnej, zmechanizowanej wojny, myślał kategoriami pierwszej wojny światowej.**

● **Na pytanie francuskiego Instytutu Badania Opinii Publicznej: „Czy jesteś zadowolony, czy też nie, z generała de Gaulle'a, jako prezydenta republiki?", 57 proc. osób biorących udział w ankiecie wyraziło zadowolenie, 35 proc. niezadowolenie, a 8 proc. nie miało sprecyzowanego zdania. W stosunku do wyników analogicznej ankiety z grudnia ub. roku popularność prezydenta zmalała o 2 proc.**

● **Członek prezydium Rady Najwyższej Armenii, N. K. Arutjunjan, wyraził opinię, iż wybory powszechne w Związku Radzieckim mogłyby zyskać jeszcze bardziej na znaczeniu, gdyby na listach wyborczych znajdowało się więcej kandydatów, aniżeli miejsc mandatowych. „Wysunięcie więcej niż jednego kandydata nie wpłynie w żaden sposób na zakłócenie jedności politycznej wyborców. Natomiast wzrosłaby ich aktywność polityczna, wzmogłaby się odpowiedzialność kandydatów przed wyborcami".**

● Brytyjska korporacja radiotelewizyjna BBC podjęła decyzję wybudowania schronów atomowych dla swych filii w Sheffield i Manchester, aby stworzyć możliwość „nadawania programów w czasie ewentualnego ataku atomowego". „Dla kogo?" — zapytują Anglicy.

● **Premier Kambodży, książe Sihanouk oświadczył, iż Związek Radziecki zgodził się udzielić Kambodży znacznej pomocy, która między innymi obejmuje sprzęt wojskowy, łącznej wartości 13 milionów franków.**

● **W artykule opublikowanym na łamach Saturday Evening Post, senator Fulbright wysunął dwie sugestie, które, jego zdaniem, mogłyby doprowadzić do zakończenia wojny w Wietnamie. Proponuje on, aby Stany Zjednoczone uznały Front Wyzwolenia Narodowego jako stronę walczącą, z którą gotowe byłyby negocjować, oraz powinny wyrazić zgodę na przeprowadzenie wyborów pod nadzorem międzynarodowym w Wietnamie południowym i uznać każdy wynik tych wyborów.**

Kto o szczęściu ciągle tylko śni, nie powinien się dziwić, kiedy je prześpi.

Ernest Deutsch

● **W NRF ukazała się książka wybitnego filozofa niemieckiego Karla Jaspersa pt. „Dokąd zdąża Republika Federalna?" Zdaniem recenzenta „Die Welt", książka Jaspersa stanowi „wyraz uczuć rezygnacji". Jaspers sądzi, że jeśli nie będzie w NRF rządów demokratycznych „rozwinie się w łonie demokracji nowa forma władzy, która wydrąży demokrację". Filozof tak precyzuje procesy rozwojowe w NRF: „od oligarchii partyjnej do państwa autorytarnego, od państwa autorytarnego do państwa dyktatury, od państwa dyktatury do wojny".**

● Holenderski premier Jo Cals oskarżył „sensacyjną prasę zagraniczną" o spowodowanie incydentów w czasie uroczystości ślubnych holenderskiej księżniczki Beatrix z Niemcem Clausem. (Prasa zagraniczna informowała, iż Claus był w swoim czasie członkiem Hitlerjugend). Zarówno demonstracje jak i wybuchy bomb dymnych były, zdaniem premiera, następstwem akcji propagandowej zagranicznej prasy. „Dowody na to są w moim posiadaniu".

● **Ministerstwo Handlu Zagranicznego Japonii informuje, iż w lutym br. Chiny Ludowe były drugim, po Stanach Zjednoczonych, rynkiem eksportowym Japonii. Wartość eksportu japońskiego do ChRL w tym miesiącu osiągnęła sumę 35 milionów dolarów, co w porównaniu z lutym poprzedniego roku oznacza wzrost o 80,2 proc.**

Optymista widzi wszystko w różowych barwach, pesymista w czarnych. Prawdziwie mądry jest ten, kto nie dostrzega kolorów.

Upton Sinclair

● W 1965 roku — 49 tysięcy Amerykanów zginęło w wypadkach ulicznych i drogowych, zaś 1.800.000 zostało rannych. Statystycy obliczyli, iż możliwość utraty życia przez podróżującego własnym samochodem Amerykanina jest 45 razy większa, aniżeli, gdyby podróże te odbywał on samolotem.

BRAWO NASTOLATKI!

W jednym z ostatnich numerów warszawskiej „Kultury" wystąpiło aż dwóch nastolatków, podpisanych, a jakże, imieniem i nazwiskiem. Najlepszy to dowód, że tygodnik bardzo się stara o poszerzenie asortymentu współpracowników. Bardziej jednak cieszy co innego, a mianowicie sama treść wypowiedzi obu młodych ludzi.

Krzysztof Sikorski, uczeń klasy X z Poznania wnosi o zwiększenie repertuaru ocen. Uważa mianowicie, że piątki i czwórki już się prawie nie trafiają, a różnica pomiędzy trójką a dwójką jest zbyt skomplikowana, aby można było zachować stan bieżący.

W carskiej szkole mawiano, że bóg umie na piątkę, car na czwórkę, nauczyciel na trójkę, a uczeń na dwójkę. No, ale tak, być może, było w carskiej szkole, a nie w naszej, ludowej. Boga nie klasyfikujemy, cara nie ma, zaś uczeń, który umie więcej niż na dwóję, a mniej niż na tróję, ląduje z reguły powtórnie w tej samej klasie z oceną niedostateczną. Kolega Krzysztof uważa ten stan rzeczy za niesprawiedliwy i dopomina się o pały w szkole jako stopień najniższy, natomiast stopnie pozytywne, począwszy od dwójki, na mitycznej piątce skończywszy, lepiej oddawałyby rzeczywiste umiejętności współczesnego ucznia.

Myślałem dość długo nad tą propozycją. Poprzeć, czy nie poprzeć? A może ten Sikorski to sprytniarz, obrońca słabeuszy, leniów i obiboków? A może jednak ma rację? Pałka, biorąc rzecz optycznie, wygląda bardzo ładnie, kiedyś stawiano nawet pałki, ale to były stopnie najlepsze. Radbym tedy wniosek nastolatka popierać, a równocześnie coś mnie powstrzymuje. No, bo czy rzeczywiście tak teraz jest, że siedemdziesiąt procent uczniów zbiera tylko tróję, albo dwóję, a tak właśnie twierdzi kolega Krzysztof i tym uzasadnia swój wniosek? My, jak sami naszym dzieciom mówimy, za naszych młodych lat kosiliśmy raczej czwórki i piątki, prawda?

Tak więc problem jest trudny i proszę się nie dziwić, że jeszcze sobie o nim pomyślę. Do tego samego zachęcam łaskawych Czytelników. A może by nasze łódzkie nastolatki zechciały przekazać „Odgłosom" swoje uwagi na ten temat?

Drugi nastolatek, Maciej Świtkowski napisał cały felieton na temat stosunku młodzieży do uwłosienia głowowego i muzyki tzw. mocnego uderzenia. Jakby na sprawę nie patrzeć — blaha ona nie jest. Kolega Maciej zawiadamia, że przed pisaniem wymył sobie włosy, te bardzo długie, więc wcale nie kapie z nich brud. A ten brud to właśnie koronny zarzut przeciw nowej modzie. Myślę, że kolega Maciej ma rację, powinniśmy przede wszystkim dbać o pozytywny stosunek do mydła, a nie o długość włosów. Może jeszcze należałoby zbadać, jak funkcjonują uszy i oczy. Uszy, jak sama nazwa wskazuje służą do słuchania, a oczy do patrzenia i długie włosy nie powinny degenerować tych ważnych organów człowieka.

A teraz kilka słów o big-beacie i elektrycznej gitarze. Kolega Maciej to chytry nastolatek. Wcale nie uważa big-beatu za muzykę, ale tylko za pewne zjawisko, które sprzyja naturalnej potrzebie wyładowania młodzieńczej energii. Zresztą wyładowują się, wcale nie tak znowu najlepiej i starsi, chociażby na meczach bokserskich, czy piłkarskich. Okrzyki dziesiątkolatków na widok tęgiego łamiszczęki w akcji na ringu, na ogół nie ustępują okrzykom, czy zachowaniu się nastolatków podczas występów miejscowych „Tiger-Tanger". Oczywiście, dziesiątkolatki potępiają ekscesy niektórych kibiców, nie chcą mieć nic wspólnego z notorycznymi łobuzami, alkoholikami, bywalcami Izb Wytrzeźwień, a nasz nastolatek tak samo, kropka w kropkę tak samo — także się odcina od łamaczy krzeseł, świadczy w sądzie przeciwko młodocianym awanturnikom, ubóstwia Strawińskiego i Picassa, woła o mądry, dydaktyczny program w telewizji, jest także za umasowieniem sportu. Zupełnie jakby był dziesiątkolatkiem.

No i jaki z tego wniosek? W każdym pokoleniu, młodych i starszych, spotykamy zjawiska ujemne, w każdym pokoleniu może przytrafić się niebywałe chamstwo, czy nawet zwyrodnienie. Nie należy wobec tego, jeżeli chodzi o poziom moralny, dzielić społeczeństwa na nastolatków (niemoralnych, bezideowych, chuliganiących itp.) i dziesiątkolatków (moralnych, ideowych, grzecznych itp.).

Wiesław Gajewski

WACŁAW BILIŃSKI

WIELKI POŻAR

Noc z 20 na 21 sierpnia 1963 roku była pogodna i niemal bezwietrzna. Ten szczegół pamiętają wszyscy: wiatr wzmógł się dopiero nad ranem i jego podmuchy uczyniły wszystko, co się zdarzyło, pozornie jeszcze bardziej niezrozumiałym. Wieczorem miasteczko, zmęczone zwózką i omłotami, zapadło we wczesny sen: tak zasypiają zmęczone żniwami chłopskie obejścia, bowiem choć działo się to już w czasie Wielkiej Budowy, przecież Działoszyn nie stracił jeszcze swego sielskiego charakteru. Więc wcześnie spać.

Owego wieczoru nikt jakoś nie świętował imienin, wcześnie opustoszała knajpa w rynku, potem nastała noc jak każda inna, łatwo możemy sobie wyobrazić jej, aż dzwoniącą w uszach ciszę, jej senny, ociężały ze zmęczenia spokój. Ten szczegół zadziwiał później ludzi, do których należało wyświetlenie prawdy. Bowiem, jak zeznał zgodnie cały Działoszyn — wszyscy spali kamiennym snem i dlatego nikt nie wiedział dokładnie jak to się stało.

A więc — bezksiężycowa noc, sierpniowe roziskrzone niebo, nieliczne światła miasteczka i ich odbicie w wodach Warty. Punktualnie o dwudziestej trzeciej zero zero (dokładny czas zanotował dyżurny strażak w Pajecznie) strzelił ogień jak w fajerwerku, to zapaliła się na wygonach za osiedlem pierwsza stodoła — należąca do Sylwina Smorawskiego — ta najdalej wysunięta w stronę Pajęczna. W chwilę później w ognju stawały już i następne. Błysk dostrzegł stróż z piaskowni. „Co za cud..." — opowiadał post factum — „Na Chinach" zajęły się stodoły w jednej minucie, jakby kto za sznurek pociągnął... „Ogień je ogarniał, jedną za drugą, i co dziwniejsze, wcale nie na prawie złego sąsiedztwa, kiedy to strzecha zapala się od strzechy, lecz w różnych punktach wygonów, często w sporej od siebie odległości. Już paliło się ich sześć. Wielka łuna zaalarmowała wszystkie strażnice SP w sąsiedztwie, własna, działoszyńska sekcja OSP ugrzęzła początkowo w „kłopotach z wozem", ale straż pożarna z Pajęczna zjawiła się po kilkunastu minutach, i tak udało się ogień zlokalizować. Kierownik akcji ratowniczej odwołał nawet wezwanie o pomoc, skierowane do Wielunia. Jednym słowem „w try miga było po pożarze".

Działoszyniacy postawieni tak nagle na nogi, zbyt byli rozespani by wypadek komentować. Nie padło więc jeszcze ważkie słowo „podpalenie". Ale już mówiono, iż ogień poszedł „wyskoczkami", a to miejscowe powiedzonko ma w Działoszynie swą tradycję: oznacza, iż pożar szerzy się niejako wbrew naturze, pod wiatr, w gęstej zabudowie wybierając ofiarę jakby ruchem konika szachowego. Jest to lokalny, lecz dobrze znany z przeszłości fenomen.

Tym razem zgorzało tylko sześć stodół, nic znowu wielkiego, mój Ty Boże, nie takie pożary w miasteczku widywano. I nawet wtedy, gdy już po przygaszeniu tych sześciu pierwszych, nieoczekiwanie zapaliła się daleko na uboczu siódma stodoła, więc nawet wtedy jeszcze pożar wydawał się nie taki znaczny. I ta strzecha w mig spłonęła, ogień objął zboże w stodole, ale go zalano woda z kilku beczkowozów, więc zaskwierczał, zakopcił, przygasł. Hydranty obróciły się na sąsiednie strzechy, strażacy obłożyli je parującą, mokrą choiną i tych stodół ogień już się nie imał.

O pierwszej minut dwadzieścia na przeciwległym krańcu miasteczka, aż na dalekim Bugaju, znów niby w efektownym fajerwerku, zaczęły stawać w ogniu stodoły tak szybko jedna po drugiej, iż zdawało się, że podpala je już nie czyjaś ręka, nie łuczywo, lecz jakaś zmyślna, nowoczesna, sprawna instalacja. Po kilku minutach wydawało się, że cały Bugaj stoi w ogniu. I znów zanotujmy kłopotliwy, dwuznaczny fakt: ogień szerzył się pod wiatr, z uparta pogardą dla praw natury.

Jaka szkoda, że minęły czasy działoszkich ballad i odpustowych pieśni-relacji. Jakże piękna byłaby opowieść o tej nocy, o tym wielkim ogniu nad Działoszynem. Reportażysta ograniczy się do suchej relacji: w miasteczku zrobiło się widno jak w dzień, łuna sięgająca chyba gwiazd widoczna była i w Radomsku i w Częstochowie. W odległym Dankowie, członkowie miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej świętujący ślub starszego sikawkowego, gdy na niebie wstała ta działoszyńska biała łuna całą dzielną sekcją wraz z panną młodą i drużbami ruszyli, aby szybciej, na pomoc. Już w stronę pożaru pędziły wozy strażackie z Łasku, Zduńskiej Woli, z Sieradza i Kępna, z Lututowa, Radomska i Częstochowy. Już do walki z groźnym żywiołem ruszało przeszło 250 strażaków. A ogień szalał, jego huczaca ściana przysuwała się coraz bliżej miasteczka, płomienie objęły sześćdziesiąt stodół i miasteczko tym razem zachłysnęło się z leku. Ludzie w panice zbierali dobytek, wyganiali z obór ryczące krowy, ktoś krzyknął — „Chcą spalić Działoszyn!" Kto? Kto? Ktoś inny podpowiedział — „Ci z domu poprawczego". Ktoś wreszcie zakrzyczał sakramentalne oskarżenie — „To podpalili ci z Trębaczewa".

Żeby wejść do akcji, nadjeżdżające wozy strażackie przedzierały się przez linię ognia i niejedna sekcja — jak na przykład ta z Cementowni — zadziwiła brawurą i odwagą. Języki ognia objęły wyschniętą trawę i krzyże na cmentarzu, i wtedy pod figurą na wzgórzu ukazała się postać proboszcza — czarna wyrazista sylwetka, gest Wernyhory — który modlitwą i krzyżem starał się zażegnać klęskę. Ogień tak grzmiał, że na rynku ludzie musieli porozumiewać się krzykiem. Przed kościołem babiny piskliwie ciągnęły zapomniany już chorał „Z dymem pożarów". Sześćdziesiąt sekcji straży pożarnej toczyło zaciętą walkę, by nie dopuścić ognia z jednej strony do zabudowań miasteczka, a z drugiej — do lasu: pamiętajmy, że był to koniec sierpnia i czas posuchy. Groza, groza!

Więc dokazywano prawdziwych cudów, niestety, z Warszawy nikt nie zdążył przybyć na czas, by utrwalić te chwile na taśmie filmowej, czy choćby w podsumowującym przemówieniu, zjechała natomiast władza wojewódzka, aż dziw, jak w takich wypadkach blisko z Łodzi do najdalszych zakątków województwa. Nad ranem — pamiętajmy, że w sierpniu świt wstaje wcześnie — byli już na miejscu i prokurator wojewódzki i wojewódzki komendant MO. Nad ranem strażacy pokonali ogień. O czwartej zero zero (cytujemy z raportu) — „sytuacja była opanowana". O ósmej zero zero „akcję zakończono". Spłonęło sześćdziesiąt siedem stodół. Straty szacowano wstępnie na miliony.

Dodajmy do tej relacji swoje trzy grosze: Wspominając ów dzień komendant Straży Pożarnej w Pajęcznie mówi dziś jeszcze ze zdziwieniem, że gdy ogień przestał zagrażać miasteczku, mimo ogromnych strat „nie było jakoś widać zmartwienia na twarzach ludzkich". Przypisywano to radości, że przecież udało się żywioł opanować, iż miasteczko nie poszło z dymem.

* * *

Ogień już ugaszono, pora na dygresję, bez której dalej ani na krok. Co wiemy o działoszyńskich pożogach? Ile razy miasteczko szło z dymem? Jest to zaiste temat godny pracy doktorskiej. Pisząc rzecz niniejszą bez takich ambicji, stwierdzamy tylko, że Działoszyn palił się raz po raz, od zarania swej historii, walnie do czego przyczyniali się i bracia rodacy, i Szwedzi, i Moskale, i Prusacy, i żywioł, i wreszcie szczególna piromania działoszyniaków, o której będzie jeszcze mowa. W ognia pożaru spopieliła się pierwsza księga miejska, tak że nową fundowano w roku 1728, wzmiankuje dobitnie o smutnym losie poprzedniczki. Poszedł z dymem zamek Męcińskich, działo się to w latach konfederacji barskiej, pisarz Kahału czcigodny Cwi żale swe nad zgliszczami zamczyska notował w Pinkasie z 1768 roku. Spalił się wówczas chyba i ratusz działoszyński, bo nic już o nim nie słyszymy od tej pory. I tak ogień zacierał skrzętnie w Działoszynie ślady historii. Zacytujmy — (Słownik Geograficzny Sulimierski i Walewski, rok wydania 1881) — „Kiedy wzniesiony tutejszy kościół, niewiadomo, gdyż bezustannie ulegając wraz z miastem pogorzelom dokumenta wszelkie stracił. Pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1683 roku, po zgorzeniu jego. Znowu zgorzał w końcu tego stulecia, a w ciągu następnego stulecia kilkakrotnie. 2 października 1803 r. wraz z miastem obrócił się w zgliszcze, i potem jeszcze dwukrotnie ucierpiał od pożaru miasta". Bywało, że palił się młyn, tartak, most nawet. Świetna działoszyńska fabryka cygar Kronenberga — „słynna na całe imperium", też oczywiście poszła z dymem w roku 1873 i pozostały po niej tylko szczątki murów. Były wielkie pożary w 1902 i 1910 roku. Palił się Działoszyn w czasie I Wojny Światowej. W dwudziestoleciu raz po raz szły z dymem działoszyńskie stodoły, bywało, że paliło się ich dziesięć, bywało — jak w roku 1938 — iż czerwony kur ogarnął stodół osiemdziesiąt trzy. Stało się to już po żniwach, w niedzielę podczas sumy, i klęska przybrała takie rozmiary, że pan starosta Niżankowski zjechał organizować pomoc w naturze dla pogorzelców, nie znających jeszcze w tych czasach drogi do kas Towarzystw Ubezpieczeniowych. Wreszcie pożar największy, we wrześniu 1939 roku, spopielił całe miasteczko. Wiemy już, że ocalało wówczas domów tylko trzynaście. Jest więc — bez żadnej przenośni — historia miasteczka znaczona łuną pożarów, niemal każda klęska Rzeczypospolitej ogniem uderza w Działoszyn, niszczy dobytek ludzki, spopiela pomniki dumnej przecież historii, i jakby tego mało — jeszcze w intermediach — pożary, pożary, pożary! Jakaż cywilizacja, jakież społeczeństwo oprze się takim kleskom? Czyż możemy się dziwić, że miasteczko w ostatnich trzech stuleciach osuwało się w coraz głębszy upadek?

Bodajże w roku 1942 niemieccy żandarmi, bez żadnego zresztą powodu zastrzelili Franciszka K. Ten nieodosobniony wypadek bardzo wówczas wstrząsnął działoszyniakami, każdy czuł się zagrożony, każdy pytał, kto następny. Ale znalazł się i ktoś, kto przypomniał ludziom pewien szczegół biografii nie-

boszczyka, i nawet orzekł, że ta nagła śmierć mogła być karą boską. Bowiem świętej pamięci Franciszek w roku swej śmierci stary już i niedołężny, przed wojną w pełni sił, cieszył się złą sławą. Mówiono o nim, że, jak mu kto dobrze zapłaci, to i podpali co się da. Ludzie jemu właśnie przypisywali wielki pożar z 1938 roku. Kładł wówczas — jak głosiła fama — ogień pod strzechy za pieniądze handlarzy — czy raczej spekulantów zbożem.

Nie on jeden zresztą w Działoszynie trudnił się takim niezwykłym rzemiosłem. Znów wypadnie nam odwołać się do famy. Głosi ona, iż w latach międzywojennych do Działoszyna przyjeżdżali fabrykanci aż z Łodzi — by tu znaleźć fachowca, który gdy trzeba, potrafi puścić z dymem największą fabrykę, śladów podpalenia nie zostawi, przyłapać się policji nie da. Wiadomo, jak często taką właśnie metodą łódzcy fabrykanci ratowali się przed bankructwem. Bankrutowały natomiast wówczas Towarzystwa Ubezpieczeniowe, mimo iż sprowadzały detektywów aż z Wiednia i Berlina. Proszę zapamiętać, tę dygresję: detektywi i pożary. Może nam to coś za chwilę przypomni, może z czymś się skojarzy.

* * *

Pogorzelisko wówczas, latem roku 1963 jeszcze dogasało — a już w miasteczku zjawili się likwidatorzy PZU by oszacować szkody i przeprowadzić odnośne akty prawne. Zagnieździli się w szkole i zaraz wzięli się do dzieła. Nie była to robota łatwa, bo od początku działy się cuda i cudeńka. Co utkwiło w pamięci likwidatorów, przywykłych przecież do takich właśnie sytuacji? Czy zgliszcza i łzy, tragedie ludzkie i ich niema rozpacz?

Otóż inaczej w Działoszynie. Pamiętamy uwagę strażaka, że dziwni tutejsi pogorzelcy nie bardzo wyglądali na zmartwionych. Teraz sytuacja nabrała jeszcze ostrzejszej wyrazistości. W pierwsze dni po pożarze, jak wspominają pracownicy PZU, „nie było z kim rozmawiać!" Ofiary pożaru zalewały robaka, wcale nie kryjąc radości. I tak pod znakiem Bachusa i Monopolu, w tej dziwnej i niezrozumiałej dla urzędników PZU uciesze, przebiegł pierwszy okres likwidacji szkód.

A potem zaczęły się wielkie improwizacje: gdy rozeszło się, że PZU najdrożej wycenia seradelę, w popiołach niemal każdej stodoły znajdowano ślady spalonej seradeli. Później rozegrała się batalia o pewną sieczkarnię. Szczątki spalonej sieczkarni znajdowano w czasie wyceny szkód w wielu pogorzeliskach na Bugaju — i trzeba było aż wspólnej, zorganizowanej jednocześnie akcji wszystkich 24 likwidatorów, by udowodnić iż spłonęła tylko jedna sieczkarnia.

Po improwizacjach, których tu nie sposób wyliczyć, przyszła pora na poczęstunki. Zapiszmy dla pamięci potomnych, że tym razem działoszyniacy zabłysnęli staropolską gościnnością: panowie likwidatorzy byli zapraszani: „na skromny obiad" — a w chacie nieszczęśliwego, zrujnowanego pogorzelca stół aż uginał się pod jadłem i napitkiem.

W takiej atmosferze, wśród targów, przechytrzeń i forteli minął pierwszy okres po Wielkim Pożarze. Aż wreszcie przyszedł dzień, gdy zdumionemu kierownikowi PZU z Pajęczna, jedzącemu obiad w Gospodzie Ludowej, ktoś ukradkiem podsunął kartkę z nagryzmolonym ostrzeżeniem: „Uwaga, panie kierowniku, tajniacy!" Tak zaczął się następny akt batalii o wyjaśnienie tajemnicy tego pożaru. Batalii — ośmielmy się stwierdzić — przegranej dla PZU i władz śledczych.

* * *

Już jako ostatnia nadzieja śledztwa zjawili się w Działoszynie tajniacy, a mówiąc językiem oficjalnym, wywiadowcy, specjaliści od umiejętnego pociągania ludzi za język, znawcy małomiasteczkowych obyczajów i psychologii drobnego przestępcy. Zjawili się we właściwy sobie, „bezszmerowy" sposób, w dzień targowy, wtopieni w tłum, bezpostaciowi, niezauważalni. Działali metodami cienkimi i subtelnymi. W gospodzie cierpliwie cedząc przy bufecie kwaśne piwo słuchali uważnie rozgadanych bywalców. Na targu zaglądali koniom w zęby. Targowali się o motek przędzy, o sznurek grzybów. Nie pytali, broń Boże, o pożar. Ale zawierali znajomości, stawiali jedną i drugą kolejkę. Zawierali nawet przyjaźnie. Szli tropami sobie tylko znanymi, nawiązując do zadawnionych miejscowych waśni, do jakichś starych, rodowych antypatii, czy wrogości.

Wywiadowcy działali w pełnym przeświadczeniu, że nikt ich nie dostrzegł, ale działoszyniacy od chwili ich przybycia obserwowali intruzów i krok w krok podążała za tymi detektywami nastroszona, baczna czujność miasteczka. „Swoi" ostrzegali się ledwie dostrzegalnym gestem, grymasem, przymrużeniem oczu.

Trwało to parę dni, potem w drugim nawrocie, z fachowcami sztuki śledczej o wyższych jeszcze kwalifikacjach — znów przez parę dni. Działoszyn nie stronił od rozmów. Przyjmował fundowane kolejki. Gawędził, tak całkiem, jakby języki już się rozwiązywały. I jednocześnie obserwując wszystkie te zabiegi, uśmiechał się ironicznie, mrugał znacząco — „Ale frajerzy, co?" Konspiracyjna zmowa milczenia opinała osadę niby niezawodny pas cnoty.

* * *

A była to tajemnica poliszynela: Niecałe dwa miesiące przed sierpniowym Wielkim Pożarem spłonęła — niby raca wystrzelona na próbę — stodoła Romana Gaworskiego. Jedna tylko stodoła. Po dwóch miesiącach poszło z dymem ich dziesiątki. PZU przeprowadził wówczas wycenę strat — i dopiero wtedy ujawniła się szczególna bardzo zaskakująca okoliczność. Oto Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Pajecznie nakazał w dniu 17 marca 1962 roku — a więc przeszło 15 miesięcy przed pożarem — rozbiórkę, bądź przeniesienie na inne miejsce stodół pobudowanych na placach gromadzkich. Tereny te przeznaczono obecnie pod zabudowę mieszkalną. Nakazy rozbiórek wywołały w osiedlu wielkie poruszenie. Jakże to rozbierać takie piękne stodoły? Gdzie je przenosić? Że na ich miejsce staną bloki, co nam do tego? Niech je sobie inaczej lokalizują. A nas niech zostawia w spokoju. Działoszyniacy gardłując głośno zignorowali nakaz, a władze powiatowe po niewczasie stwierdziły, iż nie są w stanie go egzekwować. Stanęło na niczym. Nad dzielnicami stodół w Działoszynie zawisł jednak wyrok — może nierychliwy, ale nieodwołalny.

I oto w ślad za zmieniona w popiół stodoła Gaworskiego, poszły z dymem te z Chin i z Bugaja — razem 67.

PZU miał prawo w oparciu o postanowienie Wydziału Budownictwa i Architektury w Pajecznie skreślić na kilkanaście miesięcy przed pożarem owe stodoły z ewidencji — i wówczas byłaby to dla działoszyniaków klęska nieodwracalna. Inspektorat w Pajecznie nie dokonał jednak tego zabiegu — dlaczego, to już inna sprawa. Stodoły były więc nadal „na ewidencji", obejmował je obustronny obowiązek ubezpieczenia od ognia. Czy Działoszyn był tego świadom? Znając charakter osady nie będziemy nawet próbować tej delikatnej kwestii wyjaśniać. Zresztą nie ma to dla nas istotnego znaczenia. Chodzi nam przecież o ogólną charakterystykę małego polskiego miasteczka, a nie dociekanie prawdy w kwestii aż tak spornej.

Po sporach, po epizodach rozgrywających się w sądach wielu instancji, za straty pożarowe, to znaczy za te stodoły przeznaczone w większości do rozbiórki, Państwowy Zakład Ubezpieczeń wypłacił działoszyńskim obywatelom ponad milion trzysta tysięcy złotych. Dodajmy do tego około 40 tysięcy złotych odsetek.

Najdłużej procesował się Gaworski i jego sprawa omal nie dotarła aż do Sądu Najwyższego. Lecz i on wygrał. W sentencji wyroku (14.300 złotych odszkodowania) czytamy, że Zarządzenie Wydziału Budownictwa „było pozbawione charakteru imperatywnego, ponieważ nakazując przeniesienie stodoły na inne miejsce, nie przydzielono ob. Gaworskiemu w tym celu innego placu". A rolnik, producent, żywiciel narodu musi mieć stodołę, by w niej przechowywać swe plony. Jasne? Jasne! I praworządne.

Na tej uwadze można by zakończyć rzecz o Wielkim Pożarze w Działoszynie.

* * *

Chociaż — dla pełnego obrazu — nie obejdzie się bez postscriptum. Warto wiedzieć, że **primo:** w Wielkim Pożarze ocalała stodoła naczelnika Ochotniczej Straży Pożarnej w Działoszynie. Proszę mnie źle nie zrozumieć. To stwierdzenie faktu, a nie aluzja.

I **secundo:** gdy o Wielkim Pożarze zaczęto mówić dużo i źle, w Działoszynie wybuchł następny pożar, tym razem mały i szybko ugaszony. Spaliły się stodoły Adama Mordalskiego i Wacława Gadalińskiego. Przewodniczącego i członka Prezydium miejscowej Rady Narodowej. Kto teraz ośmieli się twierdzić, że „pożar w Działoszynie to na pewno jakieś cwaniactwo"?

ULE BARDZO KOLOROWE

Dalszy ciąg ze str. 1

plebanem pieśni kościelnych, nie wiem, w Bednarach nikt nie umie podać przyczyn wyrzucenia Okraszewskiego. Zgodnie z prawdą nowy pleban nie wyrzucił Okraszewskiego, zrobił jednak wszystko, żeby ten wyniósł się z Bednar w jak najkrótszym czasie. A Bednary podzieliły się wtedy na dwa obozy. Tych, którzy trzymali z księdzem i tych, którzy nie rozumieli dlaczego ksiądz przeklina z ambony.

Dochodzimy w ten sposób do Antoniego Kozarka, kolejnego z sześciu zmienionych w ciągu trzech lat kościelnych. — Ukradł mi kury — oświadczył ksiądz — lecz w Bednarach mało już było takich, co mu wierzyli. Nie uwierzył również aktualny organista Józef Malcer sprowadzony do Bednar z Kazimierza w powiecie łódzkim. A że Malcer miał dobre serce, zaś Kozarek miał troje dzieci i wielką biedę, stąd to mleko dla Kozarka. To było nielojalnością wobec księdza, więcej — złamaniem jego nakazu, jaki wygłosił na oddzielnym kazaniu: „Zabrania się udzielania jakiejkolwiek pomocy materialnej rodzinie Kozarków".

Organista Józef Malcer okazał nieposłuszeństwo, wobec tego organista Józef Malcer jest „warchołem". I od maja 1965 roku ksiądz Kankiewicz przestaje wypłacać organiście jego pobory. W listopadzie i grudniu odmawia poświadczenia należnego zasiłku na czworo dzieci. Odmawia również prawa pracy w kancelarii, prawa udziału w obrzędach kościelnych. Sam zaś za ślub czy chrzciny pobiera ponad tysiąc złotych... 600 złotych (sześćset) jako „podatek dla państwa" (?), 150 złotych na kościelnego, którego od szeregu miesięcy w Bednarach nie ma, no i skromnie, „co łaska" dla siebie samego. Przy chrzcinach wszyscy muszą kupować, chcą czy nie chcą, dodatkowo za sto złotych koszulkę dla niemowlęcia. Z okazji Świąt Bożego Narodzenia ksiądz Kankiewicz odbywa wizyty duszpasterskie, przy okazji których załatwia wiele swoich spraw osobistych: jątrzy męża przeciwko żonie, sąsiada przeciwko sąsiadowi, krewnego przeciw krewnemu, ubliża ludziom za to, że biorą w obronę Malcera, lub za to, że bronili Kozarka. Podczas tegorocznej kolędy ksiądz Kankiewicz proponuje gospodarzom: Grzywaczowi 10 tys. złotych, a Kamińskiemu 5 tys. złotych w zamian za „przysługę" — pomoc w usunięciu Malcera. W dniu 5 stycznia urządza w mieszkaniu Maciegowskich wielką awanturę, ponieważ Maciegowski odmawia „ofiary". Również podczas kolędy ksiądz pleban roznosi w odpisach list, z nakazem: Przeczytać, podać dalej w ciągu trzech dni, kto nie poda, ma grzech śmiertelny".

List ten został napisany przez szwagra Malcera, brata jego żony Natalii, również księdza z Wrocławskiego, który kilkakrotnie przyjeżdżał do Bednar godzić zwaśnione strony oraz gościł u siebie bednarskiego plebana. „Kochany szwagrze, zaczyna się list z urzędowym stemplem parafii Boniewa. — Ostrzegam cię, że stracisz na zawsze posadę organisty i to w całej Polsce, bo pójdzie w ślad za tobą urzędowa opinia... Każdy wasz list adresowany do mnie będzie zwrócony bez czytania... Jeżeli nie podporządkujecie się księdzu... Macie zawsze i wszędzie wyrażać się o nim dobrze, bronić go przed innymi. Natalia niech księdza nie obraża... Twoje córki, Maryla i Grażyna mają okazywać księdzu bezwzględne posłuszeństwo we wszystkim... Radzę ci zawczasu, zrezygnuj z posady organisty i jedź na Ziemie Odzyskane, szukać innej pracy..." Na prywatnym liście szwagra z Boniewa dopisek księdza Kankiewicza: „Malcer mnie nie przeprosił".

Ksiądz Kankiewicz hoduje pszczoły, buduje im ule, bardzo kolorowe, ksiądz Kankiewicz nie lubi jednak ludzi. Dlaczego nie lubi ludzi tego nie wiem. Ale dzięki księdzu Kankiewiczowi w spokojnych dotąd Bednarach trwa wojna. Wojna pomiędzy ludźmi, którzy ujęli się za krzywdzonymi i sponiewieranymi oraz ludźmi, wśród których ksiądz pleban znalazł sojuszników. Ta druga grupa jest bardzo nieliczna, wystarczy jednak, aby wieś począł drążyć grzyb nienawiści. Nienawiść dotarła aż do dzieci, dzieci wytykają się palcami, gdyż na lekcjach religii ksiądz pleban używa w stosunku do jednych określeń: „bekarty jehowców, bandytów, komunistów".

Ludzie z Bednar zaczęli mieć dość księdza. Nawet Wincenty Staniszewski, który na prośbę władz kościelnych stwarzał dla księdza Kankiewicza w Bednarach „odpowiedni klimat". Bednary od dłuższego już czasu molestują w kurii, proszą o zabranie plebana. Staniszewskiemu poradzono, by napisał podanie do Urzędu do Spraw Wyznań przy Radzie Ministrów. Napisał, odpowiedziało mu... długie milczenie. Wtedy kobiety postanowiły pokazać, co potrafią. Delegacja wybrały się do Warszawy, do kurii, jak mówi Staniszewska, chciały rozmawiać „z księdzem personalnym", ale go nie było. Nie zrażone, wsiadły w pociąg i do Łowicza, do ks. Dziekana.

Ksiądz Dziekan przyjechał do Bednar. W zakrystii zebrał się tłum ludzi. „Ci, co po stronie księdza — na prawo, ci co przeciwko — na lewo" powiedział biskup. Tłum ludzi zwalił się na lewą stronę, po prawej zostało zaledwie kilkanaście osób. Była to przykra scena, zwolennicy plebana zachowywali się prowokująco, nawet brali się do bicia. (Jak głosi w Bednarach plotka, ksiądz „wynajął" sobie „grupę szturmową", część z tych osób odpowiadała w niewiele czasu później za chuligańskie wybryki).

Więc bardzo trudno żyć teraz w Bednarach choć ule, bardzo kolorowe, oczy cieszą. Poczta przynosi ludziom ubliżające anonimy. Przeciwko Staniszewskiemu ksiądz zażądał wytoczenia sprawy z oskarżenia publicznego. Za co? Tego nikt nie wie, a raczej wszyscy wiedzą — ponieważ Staniszewski stanął księdzu okoniem, nie poparł go w jego rozgrywkach przeciwko ludziom. Z ambony padają wciąż słowa: Jesteście głupce, jehowce, warchoły. Parę dni temu Staniszewskiemu groził jeden z mieszkańców Bednar, człowiek o nie najlepszej opinii, zwany Szkopem, że: „wieczorem na stacji jest ciemno, nie wiadomo co może się w końcu zdarzyć". Toteż mieszkańcy Bednar proszą w podaniu do Wydziału Wyznań: ....„W związku z powyższym zwracamy się z usilną prośbą o spowodowanie kresu... (—), żeby ksiądz Kankiewicz poszedł sobie stąd...

Mieszkańcy Bednar nie chcą krzywdy ludzkiej. Bronią organisty Malcera, jego czworga dzieci. Żądają od księdza aby mu wypłacił pensję. Aby przeniósł rodzinę Malcerów z przeżartych grzybem i wilgocią pomieszczeń. Mieszkańcy Bednar pragną żyć w spokoju...

EWA OSTROWSKA

SATELITY — PRZYSZŁOŚCIĄ METEOROLOGII

W dniu 23 marca na całym świecie obchodzony jest Światowy Dzień Meteorologii. Stało się to z inicjatywy Światowej Organizacji Meteorologicznej, której zadaniem jest koordynacja badań, usprawnienie wymiany danych meteorologicznych a także wprowadzanie coraz to nowych metod obserwacji pogody.

O potrzebie przewidywania pogody nie trzeba dziś nikogo przekonywać. Ważne jest to zarówno z zupełnie indywidualnego punktu widzenia, (choćby odpowiedź na pytanie: czy warto wychodząc jutro do pracy, zabrać parasol?) jak i z punktu widzenia różnych dziedzin gospodarki narodowej, gdzie brak prognozy okupić trzeba częstokroć milionowymi stratami.

Prognozowanie pogody jako służba publiczna liczy zaledwie 100 lat. Pierwsze systematyczne prognozy pogody sporządzano w Anglii i Francji po roku 1860. Wynalazek radia umożliwił szybkie zbieranie danych z wielkich obszarów lądowych i morskich, co dla prognoz posiada decydujące znaczenie. Rok 1930 przyniósł nową zdobycz: Mołczanow wynalazł radiosondę za pomocą której dokonywać można pomiarów temperatury, ciśnienia, wilgotności i wiatrów w górnych warstwach atmosfery do wysokości 30 km. Pierwsze mapy rzadko zawierały dane synoptyczne z więcej niż 30 stacji. W chwili obecnej istnieje ponad 10000 zwykłych lądowych stacji obserwacyjnych, ponad 1.000 stacji wykonuje pomiary w swobodnej atmosferze, a na morzach pracuje 50 statków meteorologicznych. Służba meteorologiczna posiada do dyspozycji nowoczesne środki łączności: radio, dalekopisy, faksymille. Równocześnie wzrastają zadania stawiane meteorologii: do ciągłej osłony lotnictwa, żeglugi, rolnictwa i przemysłu dochodzi obecnie potrzeba dostarczania ścisłych danych o stanie atmosfery dla potrzeb m.in. techniki rakietowej. Znajomość fizycznych cech atmosfery w danym momencie jest koniecznie potrzebna dla obliczeń toru pojazdu rakietowego; zależy od tego precyzja wykonania postawionego zadania. Z drugiej strony rakiety stały się nowym środkiem do badania właściwości fizycznych atmosfery w całym jej przekroju.

Wszystkie środki, którymi posługuje się współczesna meteorologia nie zapewniają jednak w dostatecznym stopniu ciągłej kontroli ruchu mas powietrza, szczególnie nad obszarami o niedostatecznie gęstej sieci stacji obserwacyjnych. Możliwość taką stwarzają satelity meteorologiczne, które są w stanie przy odpowiednio wysokiej technice przekazywania zdjęć telewizyjnych, dać ciągły obraz rozwoju układów chmurowych, które są skutkiem ruchów powietrza zachodzących w atmosferze ziemskiej. Potrzebna jest tylko dostatecznie duża ilość okrążających Ziemię lub stacjonarnych satelitów oraz odpowiednio gęsta sieć punktów odbiorczych obrazów telewizyjnych przekazywanych przez fotografujące Ziemię z wysokości ok. 1000 km kamery. Przeprowadzone w latach 1964 i 1965 próby z satelitami amerykańskimi „Tiros" i „Nimbus" dały zadowalające rezultaty. Pozytywne wyniki uzyskano także w Związku Radzieckim w badaniach nad procesami fizycznymi w wyższych warstwach atmosfery przy użyciu sputników z aparaturą pomiarową i telewizyjną. Jest to więc nowy środek do uzyskiwania najbardziej kompleksowych i dynamicznych obrazów zjawisk pogodowych. Obserwacje tworzenia się i zanikania chmur z dużych wysokości są równoznaczne z obserwacjami ruchów w atmosferze ziemskiej, których skutkiem jest ich powstawanie. Wynika więc stąd możliwość bezbłędnego prognozowania pogody zarówno jeśli chodzi o normalne zmiany pogody jak i o przypadki powstawania np. trąb powietrznych lub niezwykle gwałtownych burz. Jeszcze obecnie cyklony tropikalne są częstokroć niespodzianką dla pływających statków i obszarów przybrzeżnych.

Znajomość rozwoju i drogi takiego cyklonu możliwa jest w przypadku posługiwania się satelitami, a wcześniejsze wykrycie cyklonu pozwala częściowo zabezpieczyć się przed jego skutkami. Również w Polsce Państwowy Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny przewiduje w najbliższym czasie uruchomienie stacji odbiorczej zdjęć satelitarnych znad obszarów Europy środkowej, co stwarza szczególnie korzystne

perspektywy dla rozwoju meteorologii synoptycznej. Tego typu obserwacje mogą być systematycznie prowadzone jedynie wspólnym wysiłkiem wielu państw ze względu na wysokie koszty utworzenia i utrzymania światowej sieci satelitów meteorologicznych. Wydatki te nie dorównują jednak nawet w części stratom poniesionym na skutek braku ostrzeżenia przed katastrofalnymi zjawiskami atmosferycznymi. Dlatego wierzyć należy, że cel ten zostanie wkrótce osiągnięty a meteorologia z coraz to lepszym skutkiem wypełniać będzie stawiane przed nią zadania.

K.K W.B.

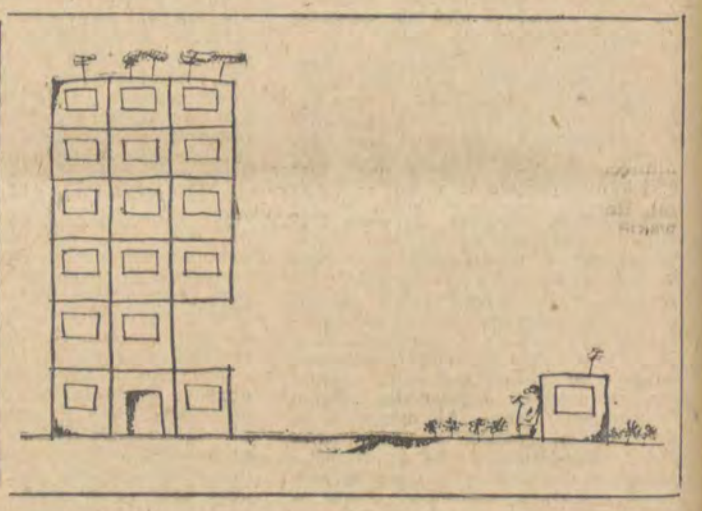

KRZYSZTOF POGORZELEC

CENA NOWOCZESNOŚCI

W ciągu niewielu lat nastąpiły wydarzenia, które przekształcają nasze życie. Kryją one w sobie straszliwe niebezpieczeństwo, a zarazem nadzieję: zagłady ludzkości albo raju na ziemi.

To powiedział Max Born, fizyk niemiecki, laureat Nagrody Nobla. Miał na myśli dzieło ludzi, których prywatnym i jak najbardziej osobistym hobby jest... myślenie.

Świat pochłonięty jest bez reszty nieustannym, aż niekiedy ogłupiającym wyścigiem: z czasem, materią, przeciwnikami i konkurentami. Z myślą.

WYNALAZCY. Jeden z najwyższych stopni wtajemniczenia do światowego bractwa ludzi dociekliwych, a niespokojnych duchem. Na prywatny, krajowo-wewnętrzny użytek jednym tchem dodajemy do tego słowa pojęcie — RACJONALIZATORZY; drugi rzut maniaków techniki i postępu.

Postępu.

Jak to powiedziano na niedawnym Kongresie Techników Polskich? „Postęp techniczny to nieprzerwany społeczny proces doskonalenia środków i metod produkcji oraz związanych z tym warunków pracy. Jest to organizowane działanie człowieka, który opracowuje nie tylko koncepcje, ale także ma na uwadze skutki społeczno-ekonomiczne swojej działalności.

W Związku Radzieckim jak i w innych krajach trwa nieustanny wyścig naukowy. W USA nakłady na badania naukowe i prace rozwojowe osiągnęły nienotowany poziom przekraczając aktualnie 20 miliardów dolarów w skali rocznej. Niestety bardzo duża część tych wydatków przeznaczana jest na doświadczenia o charakterze wojskowym — w roku 1964 około 55 proc. Według badań UNESCO, koszty doświadczeń naukowych na cele cywilne w Związku Radzieckim wynoszą aktualnie około 5 miliardów rubli, przy czym co roku wzrastają o około 23—25 proc.

Spójrzmy od tej strony, od strony zamówienia społecznego, a nie wahałbym się użyć i „wielkich słów" — politycznego i gospodarczego na działalność klanu wynalazców i racjonalizatorów w naszym kraju. Posłużymy się w tym celu materiałem zgromadzonym przez odpowiednią komisję działającą przy Komitecie Łódzkim PZPR. **Wynika z nich, że w roku 1966, w 15 przedsiębiorstwach przemysłu maszyn włókienniczych wytwarzano łącznie różnych wyrobów — przede wszystkim maszyn — przedstawiających ogólną wartość 3.710 mln. zł.**

Z tej kwoty na wyroby o najwyższym poziomie światowym i średnim europejskim przypadało około 3/4 wyrobów tego przemysłu.

W roku 1970, na łączną wartość produkcji 5 miliardów 857 mln. zł przypadać będzie aż 76 proc. wyrobów o najwyższej klasie światowej, 23,2 znajdować się będzie na średnim poziomie europejskim, a tylko niespełna 0,8 proc. wykazywać będzie cechy technicznego zacofania.

Nie inaczej ma być także w innych łódzkich przemysłach. Tak więc dla przykładu przemysł **budowy maszyn i urządzeń elektrycznych** w 1970 roku ma osiągnąć w klasie wyrobów godnych cenzurki opiewającej najwyższy poziom światowy 66 proc., a łącznie z wyrobami znajdującymi się na średnim poziomie europejskim 96 proc. Wyroby tej gałęzi odznaczać się będą wysokim poziomem technicznym.

Jak przedstawiają się wydatki na badania naukowe w przeliczeniu na jednego mieszkańca (licząc w dolarach) w roku 1965?

USA — 76,4,
Wielka Bryt. — 33,6,
ZSRR — 15,7 (tylko badania cywilne),
NRF — 17,9,
Francja — 15,2.

W Polsce wydano w r. 1961 około 143 zł licząc na jednego mieszkańca, a w r. 1964 około 182 zł, czyli że od 3,5 do 4,5 dolarów.

Dane z krajów zachodnich zawierają wydatki na cele wojskowe i cywilne. Natomiast Polski i ZSRR tylko cywilne.

Jest więc i diagnoza. Wynika z niej program nowoczesności równoznaczny z zapotrzebowaniem łódzkiego przemysłu na współczesną technikę odpowiadającą, jeśli już nie poziomowi światowemu to przynajmniej średniej stawce europejskiej. Praktycznie jest **to także jedyna droga prowadząca do nadrobienia opóźnień jakie dzielą nie tylko łódzki przemysł w stosunku do światowych i europejskich konkurentów tak w dziedzinie „ciężkich" producentów jak i wyrobów przemysłu lekkiego.** Ale — wychylmy nos poza łódzkie podwórko: oficjalne dokumenty naczelnych władz partyjnych i rządowych stwierdzają — w latach 1966—1970 należy opracować i wprowadzić do produkcji około 3,5 tysiąca nowych, stojących na najwyższym poziomie wyrobów, które będą mogły konkurować z najlepszymi.

Spróbujmy ustalić wstępne wnioski. A więc:

- Jest zapotrzebowanie na inicjatywę, wiedzę, myśl i pracę wynalazców i racjonalizatorów,
- Jest także — z ich strony — zainteresowanie.

Wyraża się ono choćby ożywieniem, liczbą zgłaszanych co roku pomysłów i projektów wynalazczych oraz racjonalizatorskich. Nie dysponuję najnowszymi danymi, ale i liczby odnoszące się do kilku poprzednich lat dobrze oddają treść tego zjawiska. W roku 1960 zgłoszono w Polsce 83.443 projekty wynalazcze, w roku 1961 — 89.984, w rok później — 114.190, i wreszcie w roku 1963 — 125.290.

Dobrze, ale nie zapominajmy o konkurentach; tych z rodziny krajów socjalistycznych oraz całej „reszty".

Ano zobaczmy co nam wypada zrobić w stosunku właśnie do konkurentów i jak na ich tle wyglądamy.

• • •

Posłużę się tutaj i zacytuję opinię jednego z krajowych speców od spraw wynalazczości i racjonalizacji — **Eugeniusza Pankaua**, który zajmował się tym problemem na polecenie Wojewódzkiego Klubu Techniki i Racjonalizacji w Łodzi.

Otóż jak stwierdza ten nasz krajowy specjalista, pomimo wzrostu ilości zgłoszeń i znacznej dynamiki ruchu wynalazczego w Polsce, ujmując w liczbach bezwzględnych ilość zgłoszonych projektów usprawnień, zajmujemy wśród krajów należących do RWPG — dopiero piąte miejsce. Dokonano przeliczeń, starając się określić ile projektów wynalazczych wpływa w naszym kraju w ciągu roku na 1.000 osób zatrudnionych w gospodarce narodowej (nie licząc rolnictwa i leśnictwa). Należy tutaj dodać, że jest to międzynarodowy miernik. Z tych właśnie wyliczeń wynika, że w roku 1961 Polska z liczbą 13,2 zgłoszeń znalazła się na ostatnim miejscu wśród krajów RWPG za Bułgarią, która miała 39,1, Rumunia — 24,8. Największe liczby zgłoszeń projektów wynalazczych przypadających na 1.000 zatrudnionych posiada Niemiecka Republika Demokratyczna — 110 czyli ponad 8 razy więc-

AZYL POŁAMANYCH KOŚCI

Dalszy ciąg ze str. 1

Mądra to myśl. Dobrze taką zapamiętać. Chociaż...

Dr Wołkowicz znał ją przecież, a nie wiele mu pomogła. Może dlatego, że za bardzo ufał ludziom, albo, że walczył na innych frontach, uczciwie, z otwartą przyłbicą...

Dr Wołkowicz walczył o sprzęt, bez którego oddział na zawsze pozostanie oddziałem chirurgii miękkiej — wbrew szyldowi, wbrew powszechnej opinii. O sprzęt, wiadomo wcale nie jest łatwo, o sprzęt walczy każdy szpital, każda klinika, każdy, wreszcie, ambitny lekarz, którego celem jest zdrowie pacjentów. Dr Wołkowicz nie zniechęcał się w tej walce. Toczyła się ze zmiennym szczęściem. Raz przegrywał, raz odnosił zwycięstwo, raz na wozie, raz pod wozem... Żeby zresztą wyjść z tonu pesymistycznego, powiem już teraz, że Wołkowicz walczy o niektóre instrumenty do dziś, i że entuzjazmu nie utracił. Ot, np., brak jeszcze na oddziale:

- wyposażenia ciemni rentgenowskiej, w której obecnie stosy rur walczą o miejsce z grubym drutem,
- stołów operacyjnych — ortopedycznych,
- rentgenów ruchomych — przyłóżkowych,
- pięciu lamp kwarcowych na sali operacyjnej tzw. brudnej, gdzie operuje się przypadki ropne,
- technika gipsowego, którego obecność pośród złamanych kości jest zapewne nieodzowna,
- itd.

Ale nie o to chodzi. Te trudności Wołkowicz przewidział. Cios padł z innej strony, a poprzedziły go niewinne na pozór fakciki...

4.

Złożył wniosek o przydział kozetek dla swoich lekarzy.

— Dostanie pan te kozetki, dostanie — zapewniał urzędnik z działu gospodarczego szpitala. — Ja rozumiem — dodawał. — Mebel to niezbędny...

Pewnego dnia kozetki przyszły, ale dziwnym trafem powędrowały do innych pomieszczeń.

I co? Ano — nic. Lekarz, który skończył przed chwilą czwartą operację, albo który o szóstej nad ranem kończy dyżur — odpoczywa sobie na krześle...

Przepraszam, bardzo przepraszam, dr Wołkowicz starał się wprawdzie o krzesła, ba, wspomniany wyżej urzędnik przyrzekał załatwić tę sprawę niezwłocznie, ale... podobnie jak kozetki — krzesła powędrowały gdzie indziej.

Zabiegał również o biurka do gabinetów lekarskich — też nie dostał.

Kiedyś, w jednym z pokoi wyleciała szyba. Prosił, aby wstawili. Prosił tydzień, dwa tygodnie, miesiąc, półtora — a po zimnej salce (w lutym to było) hulał wiatr ze śniegiem papiery po kątach ganiając — postanowił zatem wprawić szybę własnym kosztem.

Wówczas dopiero pośpieszyli okno łatać. Niechętnie. Z ociąganiem.

— Pan jest rozpieszczony — powiedział przy okazji urzędnik z działu gospodarczego. — Pan chce stanowczo za dużo — tu zapomniał dodać: panie pułkowniku, bo już pewnie zapomniał kim Wołkowicz był w mundurze.

5.

Tak, chyba to prawda: za dużo żądał. Póki radził, póki planował — wszystko było w porządku; kiedy zaczął żądać — stał się niewygodny.

Jesienią np. zatroszczył się ni stąd ni zowąd o dach. Oddział jego znajdował się na pierwszym piętrze budynku, który innych pięter nie miał, więc ewentualne przecieki zagrażały właśnie jemu.

Dział gospodarczy uspokoił dyletanta.

— Niech się pan nie boi — mówił ironicznie urzędnik. — Spółdzielnia remontowa zrobiła co trzeba. Nie szewcy przecież dachy naprawiają.

Przyszła zima. Śnieg sypnął, mróz ścisnął, potem mróz popuścił, i zaczęła się tragedia...

— Leje się z sufitu — alarmował Wołkowicz.

A urzędnik na to z całą bezczelnością:

— To niech się leje.

Stali twarzą w twarz, o dwa kroki od siebie, lecz Wołkowicz, chociaż słuch ma dobry, pewny był, że się przesłyszał:

— Jak to — powiedział — i pan to mówi?

— A tak to, właśnie mówię.

— I ma się lać?

— Nie moja to sprawa. Spółdzielnia robiła — spółdzielnia odpowiada. — I odwrócił się na pięcie.

Chorzy z innych budynków szpitala widzieli zaraz potem, jak na dachach oddziału chirurgii urazowej kilku lekarzy z łopatami w dłoniach zrzuca na ziemię śnieg.

Ale było już za późno. Ściany i stropy namiękły, zwilgotniały i zaczerniły się groźnie. Woda zaczęła kapać. Potem ciec strugami jak z rynny. Szpital zmienił się w jezioro. Wybuchła panika. Łóżka z chorymi odciągnięto na środek sal, gdzie było stosunkowo sucho, później ewakuowano chorych na korytarz. W piękne, pastelowe kolory ścian wdała się korozja. Wyświecony do połysku parkiet spaczał. Nie pomogło podstawianie miednic i łapanie wody w ścierki. — Przeszła na parter, do magazynu, zalewając opatrunki i narzędzia. Spłynęły z nią tysiące złotych wyłożone na remont budynku.

Ano — z przyrodą walczyć nie sposób. Mróz i odwilż, podobnie jak trzęsienie ziemi, trąba powietrzna czy powódź — zawsze zmoga człowieka. Tak przynajmniej twierdził urzędnik Szpitala im. Biegańskiego w Łodzi. Człek wykształcony i na stanowisku.

6.

Ale też z tego Wołkowicza twardy człowiek. Prawdziwie wojskowa ma duszę. Wbrew złym wiatrom — wierzy uparcie, że swe dzieło doprowadzi do końca.

Dr Wołkowicz ma w zasadzie tylko jedną wadę: nie umie się skarżyć, nie umie interweniować gdzie trzeba, aby dać nauczkę nieżyczliwym pracownikom działu gospodarczego. — Podobna działalność jest sprzeczna z jego etyką, podobne manewry napawają go wstrętem. Zresztą — jako były wojskowy — bazuje przede wszystkim na samodzielności.

Niełatwe ma życie. Woda w ścianach oddziału wyschła wprawdzie (zostały po niej brudne plamy, zacieki, grzyb się tworzy gdzieniegdzie, gdzieniegdzie czuć pleśnią), ale wiosną, kiedy spadną deszcze — dramat się może powtórzyć. Toteż Wołkowicz — mając poczucie perspektywy — stara się temu zapobiec.

Niełatwe ma życie. Co dzień przychodzi mu patrzeć na zewnętrzne strony budynku, który pomalowany był pięknie dwa lata temu, a który już świeci szarymi, opadłymi z tynku ubytkami, i na szpitalne podwórko, gdzie znać jeszcze zarysy klombów i trawników, gdzie pośród brudów, skrawków papy, wiązek słomy, pociętych gałęzi i puszek po smole — wprawne oko wyczuwa kontury kolistych alejek.

Niełatwe ma życie. Odbiera co dzień kilkadziesiąt telefonów. I tłumaczyć się musi, bo:

Z Pirogowa np. dzwonią. Złamanie szyjki kości udowej. Poważna operacja. Przeprowadzić ją mogą jedynie specjaliści, to znaczy: przeprowadzić pomyślnie! Ale niestety, ku zdumieniu lekarzy z Pirogowa — Wołkowicz musi odmówić, ponieważ... brak ciemni, rentgenów, stołów operacyjnych, technika gipsowego, lamp kwarcowych, itd.

Dziwią się wówczas lekarze z innych szpitali. Ba, wręcz niedowierzają, posądzają ordynatora oddziału chirurgii urazowej (każdy przecież wie, że taki oddział powstał już dwa lata temu, a słówko „powstać" znaczenia jest dokonanego) o złą wolę i brak serca. Zarówno ci lekarze jak i Wołkowicz — są bezradni. Pierwsi, choć nie są specjalistami — operują z konieczności, Wołkowicz zaś — z braku podstawowego wyposażenia — operować może tylko niektóre przypadki. Sytuacja więc sprzed czterech — pięciu lat niewielkiej uległa zmianie. W dalszym ciągu odsetek trwałych okaleczeń wynikłych ze źle przeprowadzonych operacji jest duży, jest za duży!

I pomyśleć, że wszystkiemu winien... brak:

- ciemni rentgenowskiej, w której wala się od dawna zakurzony jakiś sprzęt,
- technika gipsowego, którego roli w podobnej lecznicy nie trzeba chyba tłumaczyć,
- stołów operacyjnych — ortopedycznych,
- rentgenów ruchomych, mogących podjeżdżać do łóżek z chorymi,
- pięciu lamp kwarcowych na tzw. brudnej sali operacyjnej, gdzie czystość powietrza jest gwarancją udanego zabiegu,
- koorelacji działań ordynatora z działaniami administracji,
- zrozumienia przez niektórych urzędników z działu gospodarczego Szpitala im. Biegańskiego powagi misji, którą ma do spełnienia tworzący się oddział.

Gdyby chcieć te punkty ożywić, zamienić na przedmioty i uczucia — powstałby od razu pierwszy w dziejach Łodzi, cywilny (przy WAM istnieje klinika urazowo-ortopedyczna) oddział chirurgii urazowej, pod którego szyldem wciąż się kryje oddział chirurgii miękkiej.

I to już wszystko.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

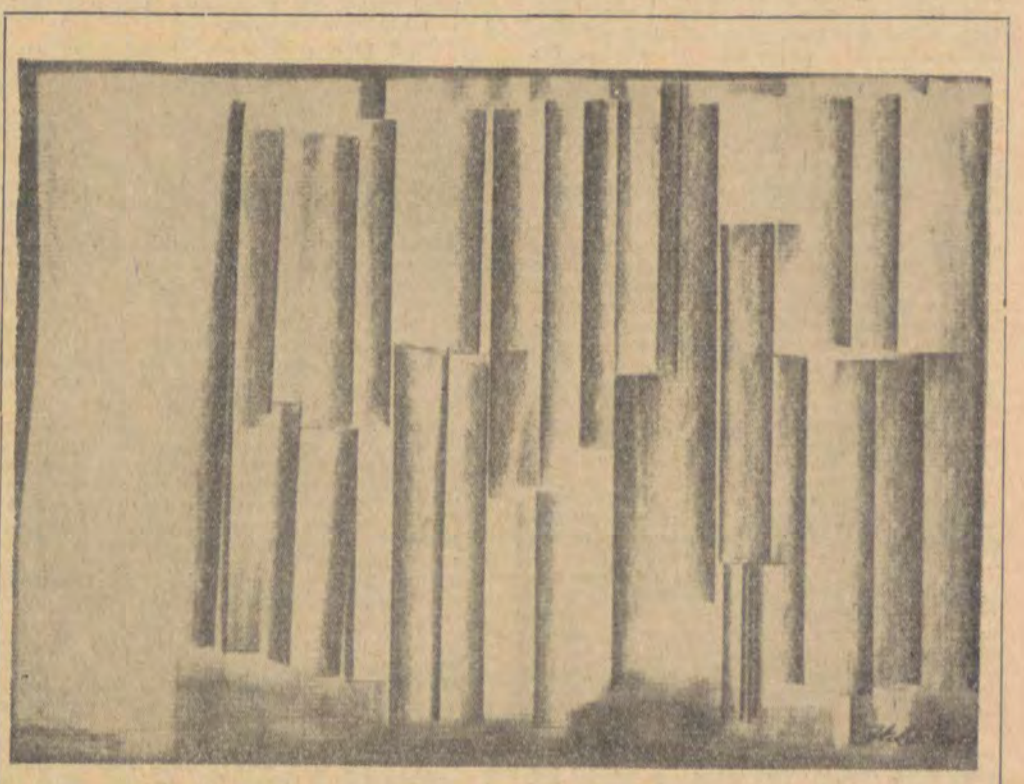

Tadeusz Hołówko. Błękitna rapsodia — ołówek.

cej niż Polska. Wyprzedzają nas także Związek Radziecki, Czechosłowacja i Węgry. W roku 1963 nastąpiła widoczna poprawa, ale i tak na 100 zatrudnionych w gospodarce narodowej przypadło co roku 17 zgłoszeń różnych wynalazków.

Sporo mamy do odrobienia jeszcze w innej dziedzinie łączącej się ściśle z ruchem wynalazczym i racjonalizatorskim, a mianowicie w dziedzinie liczby patentów udzielanych w naszym kraju. W stosunku do Polski ilość udzielanych patentów była np. w roku 1961 wyższa: w CSRS ponad 4-krotnie, w Austrii — ponad 15-krotnie i Belgii — 24-krotnie. Należy jednak zwrócić uwagę na to, że odsetek przyjętych do wykorzystania projektów wynalazczych i racjonalizatorskich nie jest w Polsce najniższy i tak realizujemy około 70 proc. zgłoszonych projektów, a w ramach krajów RWPG wyprzedza nas w tym względzie tylko Związek Radziecki. W roku 1962 wykorzystaliśmy około 80 tys. projektów wynalazków oraz usprawnień racjonalizatorskich.

Niemniej jednak trzeba zwrócić uwagę, że przed krajowymi wynalazkami i pomysłami racjonalizatorskimi zbyt jeszcze często drogi prowadzące do ich praktycznego urzeczywistnienia są kręte i najeżone licznymi trudnościami.

Każda złotówka zainwestowana w pracę wynalazców i racjonalizatorów zwraca się średnio 10-krotnie, a w niektórych przemysłach opłacalność inwencji oraz myślenia jest jeszcze wyższa. Np. w ZPB im. Juliana Marchlewskiego w Łodzi jedna „zainwestowana" w pracę racjonalizatorów złotówka przyniosła w roku 1965 38 zł oszczędności. W r. 1963 efekty bezpośrednie zastosowanych wynalazków przyniosły gospodarce narodowej około 2.811 mln. zł.

• • •

Przejdźmy właśnie do tych krętych dróg jakie wiodą zbyt jeszcze często krajowe wynalazki i pomysły racjonalizatorskie do urzeczywistnienia. Klasycznym przykładem jest tu niedawna sprawa wynalazcy Ryszarda Witkowskiego, który opracował oryginalną polską metodę produkowania sztucznych szafirów. Pomysł zrodził się i urzeczywistnił na poddaszu, przy absolutnym braku zainteresowania przez bardzo długi okres wielu kompetentnych czynników, natomiast przy zaangażowaniu się odpowiedniego Wydziału Finansowego, który szczęśliwego wynalazcę „obłożył" odpowiednio wysokim podatkiem. Gdyby nie szczęśliwy traf i przypadkowe zainteresowanie się dolnośląskiej placówki „Jubilera" kto wie czy polskie sztuczne szafiry w ogóle by ujrzały światło dzienne, oczywiście w skali przemysłowej.

Inny przykład: nie tak dawno uczestniczyłem w spotkaniu zorganizowanym przez Generalną Prokuraturę, z ramienia której dyrektor Departamentu Nadzoru Ogólnego — Kazimierz Nowak poinformował dziennikarzy o wynikach badań przeprowadzonych w 114 zakładach produkcyjnych położonych w 6 województwach. Zajęto się sprawą wniosków racjonalizatorskich wniesionych w roku 1964 i w I kwartale 1965 r. Objęto badaniami 6.538 spraw zgłoszonych przez racjonalizatorów. Generalna Prokuratura stwierdziła, że w znacznym odsetku występują w trakcie załatwiania i rozpatrywania pomysłów wynalazczych i racjonalizatorskich poważne naruszenia prawa wynalazczego. Zwykle pomija się w dyskusji nad projektem samego wynalazcę, nie rozpatruje się wniosków w sposób kolegialny, a często opinia wydawana jest arbitralnie przez jedną osobę, niekiedy zainteresowaną bezpośrednio... niewprowadzeniem w życie danego pomysłu. Z obfitego materiału, który został przedłożony przez Generalną Prokuraturę wybraliśmy dwa przykłady odnoszące się do naszego terenu. Tak więc w Wojewódzkim Zarządzie Dróg Publicznych w Łodzi na rozpatrywane 63 sprawy tylko w 3 przypadkach wezwano autorów wniosku. W Zakładach Przemysłu Wełnianego im. A Struga rozpatrzono 45 wniosków wzywając tylko dwóch autorów. **Nagminną rzeczą jest przeciąganie rozpatrywania wniosków racjonalizatorskich, co odnosi się do około 22 proc. tylko przebadanych przez Generalną Prokuraturę spraw. W łódzkich Zakładach im. A. Struga jeden z wniosków racjonalizatorskich rozpatrzono dopiero po 15 miesiącach.** Obserwuje się znaczne opóźnienia w wypłatach nagród przysługujących racjonalizatorom i wynalazcom z tytułu wdrożonego w życie pomysłu.

Tutaj wyjaśnienie. Jesteśmy krajem, który niezbyt szczodrze obdarza „apanażami" ludzi, którzy poprzez swoje umiejętności, kwalifikacje i dociekliwość chcą usprawnić technologię, maszynę czy też warunki pracy. Wynagrodzenie autorów projektów wynalazczych według oficjalnych statystyk wynosi w Czechosłowacji średnio 8,2 proc. uzyskanych efektów ekonomicznych, w Związku Radzieckim — 5,6 proc., w NRD — 5 proc. i wreszcie w Polsce — 3,5 proc. A przecież pamiętajmy, że każda złotówka włożona w działalność tej grupy ludzi zwraca się przynajmniej 10-krotnie pomnażając w ten sposób ogólny dochód narodowy.

Padły tutaj słowa — kręte ścieżki racjonalizacji. Wydaje się, że przy tej okazji warto zwrócić uwagę na formy tego ruchu, na „oprawę", którą ten ruch posiada. Są to jak wiadomo odpowiednie kluby techniki i racjonalizacji. Zbyt jeszcze często na ów klub składa się fotel, stolik i telewizor. **Natomiast brakuje tego co jest człowiekowi pomysłowemu, a niezasobnemu w różne „utensylia" techniczne potrzebne: deskę kreślarską, choćby jakieś małe maszyny — szlifierki czy obrabiarki, które mogłyby pomóc przy praktycznym zrealizowaniu pomysłu.** Wiadomo przecież, że w zakładach wytwórczych park maszynowy wykorzystywany jest niemal w 100 proc. dla wykonywania bieżących zadań. Tam też powinna się znaleźć odpowiednio szeroka i bogata biblioteka, która otworzyłaby horyzonty poznawcze przed racjonalizatorem i uniemożliwiłaby wyważać drzwi już dawno... otwarte.

Wydaje się jednak, że potrzebna jest dalsza pozytywna zmiana w dziedzinie polityki patentowej. Przytoczę tu jeszcze raz dane z pracy Eugeniusza Pankaua, który stwierdził, że w roku 1959 na każde 100 krajowych patentów zgłoszonych przez pomysłodawców udzielono zezwoleń 41, natomiast na rzecz zgłoszeniodawców zagranicznych przyznano 92 patenty.

Pozornie mogłoby się wydawać, że z tej strony nic nie grozi krajowemu ruchowi wynalazczemu. Sięgnijmy więc do konkretnego przykładu: w latach 1949—1956 znacznie rozbudowaliśmy własny przemysł elektrotechniczny. W tym samym czasie firma Philips uzyskała w Polsce 145 patentów, które jak twierdzą specjaliści w poważnej mierze utrudniły zadania rodzimego przemysłu. Ważne jest także i to, że jeszcze do niedawna ilość zgłoszeń wynalazków zagranicznych w Polsce wykazywała stałą tendencję do wzrostu, i tak tylko porównując lata 1964 do 1963 wzrost ten wynosił ponad 39 proc.

Wyciągnijmy odpowiednie wnioski. Wyciągnijmy odpowiednie wnioski w interesie blisko 200-tysięcznej rodziny wynalazców i racjonalizatorów, których cena pracy nie da się zmierzyć w złotówkach.

KRZYSZTOF POGORZELEC

KSIĄŻKI NADESŁANE

Andrzej Szmidt — MALOWANKI, Iskry, cena zł 10.—

Zdzisław Polsakiewicz — MILCZENIE I CZAS, Iskry, cena zł 10.—

Tadeusz Nowak — TAKIE WIĘKSZE WESELE, WL, cena zł 12.—

Anna Stroińska — NIEWOLNICY Z NIEPOŁOMIC, WL, cena zł 12.—

Jerzy Zawieyski — WAWRZYNY I CYPRYSY, Czytelnik, cena zł 18.—

Jan Gintel — JAN MATEJKO, WL, cena zł 95.—

MILO DOR

Przykład

(OPOWIADANIE SATYRYCZNE)

Andreas Bogumił Rammbock był natchnionym żołnierzem. Posiadał owe cnoty, które w naszych czasach pod zniewieściałym wpływem kościoła, rodziny, a przede wszystkim jej żeńskich przedstawicieli, jako i rozmaitych instytucji humanitarnych, powoli obumierają, cóż — powiedzmy sobie otwarcie — całkowicie wymarły. Tak rozwiniętej cnoty posłuszeństwa, ducha bojowego i daru fantazji w uśmiercaniu, czym chlubił się Andreas Bogumił Rammbock, nie można już zaiste dzisiaj spotkać. Podczas gdy jego towarzysze broni odwalali z szemraniem i pomstowaniem swą obowiązkową służbę wojskową, on był żołnierzem natchnionym, żołnierzem z krwi i kości. Dla jego kolegów wykształcenie wojskowe było co najwyżej złem koniecznym, dla niego zaś spełnieniem najwyższego obowiązku.

Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak co szybciej dodać, iż Andreas Bogumił Rammbock zdawał się być nie tylko przez swoje nazwisko szczególnie predestynowany do militarnej służby. Jego dziad ze strony matki, Michael Ratislav Prügel, był słynnym generałem, a jego popiersie o imponujących rozmiarach zostało jeszcze za jego życia ustawione w parku przed ratuszem w naszej dumnej stolicy, co, jak wiemy z doświadczenia, nie przytrafiało się nazbyt często nawet generałom. Nasz generał, odlany z brązu, trzyma w lewej ręce metalową mapę — prawdziwe dzieło sztuki odlewniczej — a prawą pokazuje w dal. Rozkazujący gest jego ręki jest tak wymowny, że dosłownie widzi się nieprzejrzane szwadrony kawalerii, pędzące z rozwianymi sztandarami we wskazanym kierunku. Generał pokazuje na południe, gdzie znajdują się pewne terytoria, które przed pięcioma wiekami byliśmy zmuszeni zwrócić naszemu sąsiadowi, a które on by odzyskał bez trudu, gdyby miał więcej szczęścia w wojowaniu. Złe języki utrzymują, że nie zasłużył wcale na pomnik jako, że był pechowym dowódcą i przegrywał wszystkie bitwy; zapominając, że bynajmniej nie chodzi o to, aby wygrywać bitwy, lecz by je raz po raz wszczynać, a tego nasz generał, dzięki Bogu, nigdy nie zaniedbywał.

Poza tym służył wiernie i czynnie przez lat pięćdziesiąt trzem różnym rządom i wypełniając swój obowiązek bronił zwycięsko swych aktualnych panów przed próbami zamachów. Jeśli jednak zwyciężali przeciwnicy, ofiarowywał im natychmiast swe usługi, aby jak się wyrażał, uniknąć

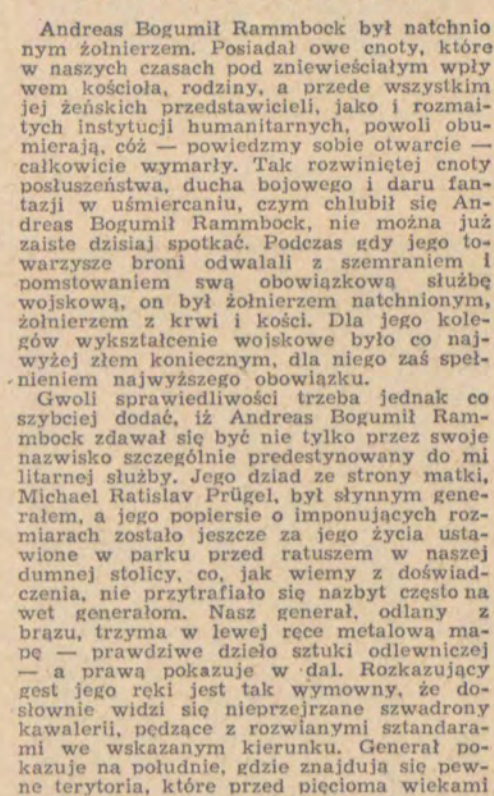

„czegoś gorszego". Prawdziwie bohaterskie decyzje, które uczyniły z niego symbol niezależnego, ofiarnego żołnierstwa i przyniosły mu ów wspaniały pomnik.

Po przejściu na emeryturę, zasiadł do pisania pamiętników i książki pt. „Atak i obrona", która w międzyczasie zdobyła światową sławę. Genialny aforyzm: „Jeżeli chcesz się skutecznie bronić, atakuj zawsze pierwszy i znienacka" wyszedł spod jego pióra.

Gdy się ma takiego dziadka, to tym samym spada na człowieka wielki ciężar, albo raczej zobowiązanie. I nie może być wahań na temat wyboru drogi życiowej wnuczka, jeśli jego dziadek podarował mu na trzecie urodziny okazałą kolekcję żołnierzy cynkowych.

Andreas Bogumił Rammbock bawił się już zatem w trzecim roku swego życia cynowymi żołnierzykami, strzelając w nich ołowianymi kulkami, które już za nic mają dzieci naszego wieku atomowego. W czasie tych ćwiczeń w strzelaniu, mały Andreas Bogumił Rammbock posiadł taką pewność ręki, że usprawiedliwiała one najwyższe nadzieje.

Pewnego razu, kiedy leżał spokojnie na podłodze i metalowymi kulkami wywracał po kolei swoich żołnierzyków, nagle, zupełnie niespodzianie zrujnowały się z wielkim hałasem szeregi. To dziadek, który stał wyniośle poza chłopcem, przyglądając się zabawie, z wściekłości czy ze zniecierpliwienia na widok niemrawo sprawiającej szyk kolumny, interweniował laską, młócąc w nią tak zaciekle, że rozpierzchła się na wszystkie strony. Stary mężczyzna wybuchnął szalonym śmiechem, pokrzykując: „Tak się robi! Tak się robi!" Wyrżnął przy tym chłopca sękatą laską w tył głowy — jako że nawet w stanie normalnym odczuwał lekkie drżenie ręki — tak że biedaczek zaczął popłakiwać.

Toteż gdy naszemu Bogumiłowi z powodu udziału w zajściach ulicznych, nazwanych przez nieodpowiedzialnych pismaków „krwawą niedzielą" wytoczono proces, znany psychiatra, występujący w nim jako biegły, powołał się wówczas na to przeżycie Bogumiła z czasów dzieciństwa. W swoim przemówieniu naszpikowanym terminami fachowymi podkreślił z naciskiem, że wybuch wściekłości dziadka spowodował wtedy u chłopca silny szok. Szok wywołał z kolei zakłócenia, coraz silniejsze z upływem czasu, które znalazły wreszcie ujście w takim oto incydencie.

Uważam te rzekomo naukowe próby usprawiedliwienia za śmieszne i bezsensowne. Czyż można podważać czyny żołnierza Rammbocka? Postępował całkowicie słusznie i konsekwentnie. Ale uprzedzam kolejność wypadków.

Jak powiedziałem, Andreas Bogumił Rammbock był natchnionym żołnierzem. Nie traktował ćwiczeń polowych jak średniowiecznej bezmyślnej pańszczyzny, lecz jako środek wyrabiający sprawność ciała. Nie bez powodu nazywa się to ćwiczeniem „dzielności fizycznej". W marszu czy w sali wykładowej, Andreas był zawsze pierwszy. Jednakże nie miał zamiaru zostać zawodowym żołnierzem, po prostu poważnie się odnosił do spraw wyszkolenia wojskowego, które jest, jak wiadomo, zaszczytnym obowiązkiem każdego obywatela.

Jak można przypuszczać, przedmiotem szczególnym jego zainteresowań była broń. Godzinami rozbierał swój karabin i składał go aż osiągnął taką wprawę, że nikt mu w tej sztuce zręczności nie dorównywał. Następnie oddał się z zapałem studiom nad innymi rodzajami broni: rozkładał rewolwer i pistolet maszynowy, wczołgiwał się dosłownie i w lufę działa, by zbadać również mechanizm ciężkiej artylerii.

Mimo że jego pilność, świadomość obowiązku i gotowość do udzielania pomocy były często chwalone w dziennych rozkazach i z tego też powodu przełożeni pomijając zwykłą drogę awansu mianowali go specjalnym rozkazem podoficerem, wnuczek wielkiego generała Prügla nie czuł się zadowolony, był jakoś wewnętrznie pusty, wydrążony — wszystkie te ćwiczenia stanowiły przecież tylko teoretyczne przygotowanie do dnia X, jak to według starego zwyczaju sztabów generalnych oznacza się czas rozpoczęcia wojny.

Podoficer Rammbock płonął z niecierpliwości, chciał wreszcie ujrzeć broń w praktycznym zastosowaniu, jednym słowem: zobaczyć, jak pluje ogniem. Wydawało mu się, że jednak nikt nie miał ochoty zaczynać prawdziwej wojny. Politycy i dyplomaci ograniczali się do wzajemnych oskarżeń i szantaży. Bronie milczały. Andreas Bogumił Rammbock począł już nawet wątpić w sens swojej żołnierskiej misji, gdy nagle nadarzyła się okazja pokazania światu, iż nie nadaremnie wyuczył się posługiwać śmiercionośną bronią.

Tej niedzieli Andreas pełnił wartę przy starej prochowni. Zgłosił się na ochotnika, pragnąc zastąpić kolegów, którzy w niedzielę chętniej spacerowali z dziewczętami lub zabawiali się w tanich lokalach. Oczywista nie chodziło o strzeżenie starej prochowni, pustej od trzystu lat, lecz o pilnowanie trzech dział, stojących na pagórku, przygotowanych do ćwiczeń, które miały się rozpocząć w poniedziałek.

Jego zadanie okazało się wyjątkowo poważne — gdyby wiedział o tym wcześniej, poprosiłby w stosownym czasie usilnie o przysłanie posiłków; otóż na łące, rozciągającej się od prochowni aż po płynący w dole strumyk, browarnia piwa „Kropla i Słodycz" urządziła akurat w tę niedzielę piknik dla swych pracowników.

Łąka zaroiła się cywilami, zachowującymi się niesfornie i wyzywająco jak sfora psiaków, spuszczona ze smyczy. Zbliżali się bez najmniejszego szacunku do dział i głaskali lufy niczym grzbiety końskie. Młodzieńcy wyciągali z teczek butelki, próbując częstować żołnierza winem, dzieci małpowały jego sztywną postawę, a dziewczęta bezczelnie mrugały, wulgarnie gestykulując i czyniąc nieprzyzwoite propozycje z niedwuznacznym zamiarem zmieszania go i wytrącenia z czujności bojowej.

Andreas kilkakrotnie wzywał grzecznie, lecz stanowczo cywilów do oddalenia się od dział powierzonych jego pieczy. Nikt jednak nie brał na serio tych przestróg. Jego słowa jeszcze bardziej rozzuchwalały cywilów, śmiano się z niego w kułak. Pewien chłopak z ryżą, opadającą na czoło czupryną, poradził mu nawet poskarżyć się jego durnemu generałowi jeżeli nie podoba mu się zachowanie załogi starej i szanowanej powszechnie firmy „Kropla i Słodycz".

Dzieci klaskały w ręce, chichotały dziewczęta, a chłopcy podrzucali pociski ułożone w piramidy obok dział. Wrzaski i krzyki o opamiętanie wywoływały tylko ironiczne uśmiechy. I gdy jakaś młoda matka rozwiesiła na lufie działa pieluszki swojej pociechy, uprane w niedalekim strumyku, rekwirując tym samym w pewnym stopniu broń do celów cywilnych, podoficer Rammbock zaczął strzelać.

Musiał chyba położyć trupem z pistoletu maszynowego ze dwadzieścia osób, nim wycieczkowicze pojęli, że nie ma żartów i dopiero wówczas puścili się w bezładną ucieczkę. Andreas strzelał za biegnącymi, a potem przyskoczył do dział i gdy uciekinierzy oddalili się na dostateczną odległość, dał ognia. Stwierdził bowiem z właściwą sobie skrupulatnością w czasie inspekcji powierzonej mu broni, że w jednej z piramid znajdowały się ostre pociski.

Wreszcie mógł się pochwalić swą wiedzą i zręcznością we władaniu bronią. Z niewiarygodną sprawnością biegał od jednego do drugiego działa, wprowadzał błyskawicznie ostre pociski i bryzgał ogniem w tłum, który jak mrowisko rozpełzł się wokoło.

W mgnieniu oka wyludniła się łąka, poza kilku tuzinami zabitych, co pozostali.

Obok trzech dział stał na pagórku zwycięzca i łzy radości w jego oczach mieszały się ze łzami wściekłości. Długo tak stał i nieporuszony spoglądał na swoje żniwo. Nareszcie zdobył konieczne doświadczenie bojowe. Był już gotowy do podjęcia rozprawy z całym światem. Gdyby nie obezwładniono go z tyłu z pomocą helikoptera, utrzymałby jeszcze długo swe stanowisko na pagórku.

Większość ludzi w mieście wzięła kanonadę za ćwiczenia w strzelaniu i w pewnym sensie miała słuszność. Dopiero gdy nadbiegli bez tchu pierwsi uciekinierzy, oni poinformowali o tym, co się właściwie stało i natychmiast powiadomiono władze wojskowe, które niezwłocznie wysłały do prochowni helikopter z wojskową policją. Zamiast wysokiego odznaczenia za wzorowe wypełnienie obowiązku, nałożono podoficerowi kajdanki i poprowadzono go jak pospolitego zbrodniarza.

Nie chcę tutaj zajmować się opisem smutnego procesu, który wkrótce potem wytoczono zdegradowanemu podoficerowi. Ostatecznie przerwano przewód sądowy, bowiem oskarżony pod wpływem skruchy czy z pomieszania zmysłów powiesił się w swojej celi.

Nie opuszcza mnie wszakże podejrzenie, iż biedny Andreas został zlikwidowany z wyższego polecenia jako że w tym czasie nasi władcy z fałszywego wstydu i nie uważając siebie za oportunistów, nie chcieli się przyznawać do skutków własnej polityki.

Andreas Bogumił Rammbock umarł przeto jako męczennik. Dlatego zasłużył na jeszcze piękniejszy i większy pomnik niż jego bohaterski dziad. Komu to potrzebne, żeby imię Bogumiła zostało pokryte hańbą i zniewagą? Naturalnie naszym wrogom. A na kogóż mamy się powoływać, gdy znowu przyjdzie bombardować otwarte miasta i strzelać do tłumu cywilów, którzy stanęli komuś na drodze?

Tragiczna śmierć Andreasa Bogumiła Rammbocka pozostanie dla nas wszystkich, którzy umiemy cenić dawne cnoty żołnierskie, świetlanym przykładem.

Przełożył z jęz. niemieckiego
STANISŁAW KASZYŃSKI

Milo Dor, ur. w 1923 roku w Budapeszcie, z pochodzenia Serb, aresztowany w 1942 r. przez hitlerowców w Jugosławii, następnie internowany do Wiednia, związuje się na stałe z tym miastem i debiutuje w r. 1945 w jęz. niemieckim. Pierwszy tom opowiadań „Po drodze" (Unterwegs) w 1947 r., pierwsza powieść „Umarli na urlopie" (Tote auf Urlaub) w 1952 (tłumaczona na jęz. francuski, angielski i holenderski). Następna powieść ukazała się w roku 1959: „Nic poza wspomnieniem" (Nichts als Erinnerung). Drugi tom opowiadań: „Salto mortale" w 1960 (przekłady na jęz. angielski, polski i japoński). Ponadto pisze słuchowiska, sztuki telewizyjne, tłumaczy (z jęz. francuskiego i serbo-chorwackiego); wydał szereg antologii. Należy do czołowych pisarzy austriackich średniej generacji.

S.K.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Pomnik Poniatowskiego

Kiedy Urząd i stado chłodnych akwilonów,
I lwy posną — czuwacze o ciężkich kędziorach,
Książę Józef, niewielki amator chitonu
I antyku, krom bogów Marsa i Amora —

Wkłada swój dawny mundur ułańskich szwadronów —
Bleu de grenade, przez piersi księżycowa mora,
Kołnierz, czako z lśniącym jak Orion burdonu...
I rwie konno asfaltem, po placach, po torach.

Niby nocą z obozu — wszędzie, gdzie pod piachem
Wieczne posty trzymają towarzysze broni.
Po Zieleńce z Raszyna koniem jak wiatr miota.

Wraca. Jeszcze nie świta. Czas zajrzeć Pod Blachę...
Nie. On z dłonią przy daszku skręca ku Kanonii,
By pozdrowić cień w oknie poety Or-Ota.

Krakowskie Przedmieście

Jest tu taka ulica w czasie i za czasem.
Otwiera ją drogowskaz, glob w ręku człowieka.
Kieruje wiecznym ruchem: jakbyś w mrok szedł lasem —
Patrz, las „Snu nocy letniej" — na łęg, gdzie od wieka
Rośnie arbor Poloniae — kolumna oparta
O pustego powietrza bryłę barokową,
Po której piłki dzieci, ptak skacze — patrz, karta
Canaletta; patrz, sztychy z Ustawą Sejmową
I spójrz, zdjęcie lotnicze, gdzie rzeźbią płomienie
Kształt pustki... Tu cykocze czas anachroniczny
I suną ku kolumnie żyjący i cienie
Przez zgiełk dziejów ogromny i przez zgiełk uliczny
W polonezie, gdzie kielnie błyszczą wśród wawrzynów
I armat. Bandaż nieba na wskos skrzepem broczy...
Spójrz — rycerze z „Trylogii" u ścian Bernardynów
I palą się zielone Słowackiego oczy...
Prus z Wokulskim — w cylindrach — szepczą o awiacji...
Przesłonił ich trolejbus. Auto w pełnym biegu...
Przeszedł kaszląc Starzyński... Z visami do akcji
Książę Józef prowadzi mych szarych kolegów...
Właśnie murarz umarły cicho jeździnę przeciął.
Spójrz, nad płytą Alowców pełnią wartę w głębi
Cienie Pięciu Poległych, ran pięciorgiem świecąc...
Lwy drzemią... Lecz sfinks czasu jest w stadku gołębi.
Tuwim w oknie naprzeciw pisze „Ex Oriente".
Piaskarz z szopki dziecinnej taszczy piach wiślany,
Ludzie z Samów z paczkami wychodzą przed świętem...
I przemija mój ojciec od lat nie widziany
W polonezie dwubarwnym, w czasie i za czasem
Ku kolumnie, co rośnie drzewem niebotycznym.
Kiedy ziemię podeprę, nakryję się lasem,
Wy mnie także znajdziecie tam w zgiełku ulicznym.

JAN HUSZCZA

A MY?

Artykuł Mariana Piechala „O zlekceważonym ognisku kultury..." („Odgłosy" z 27. II. 1966), protestujący przeciwko pomijaniu Łodzi w stołecznych dyskusjach na temat kulturalnego dorobku różnych polskich środowisk twórczych, zawiera zasadniczą rację, aczkolwiek można się spierać o rangę nadawaną przez niego niektórym wydarzeniom i fak tom. Ale to jest naturalne.

Ten jednak artykuł powinien mieć dalszy ciąg. I o to proszę Mariana Piechala jako publicystę od lat w życiu łódz kim zorientowanego. Zabieram głos z opóźnieniem, gdyż żywiłem nadzieję, że obejdzie się bez moich zwischenrufów, artykuł bowiem wywoła repli ki i uzupełnienia. Niestety!

Drugi artykuł, na który bez skutecznie dotąd czekam, powinien stanowić próbę rozejrzenia się w naszej tutaj działalności oraz w otoczce tej działalności. Co my sami w naszym mieście robimy, żeby w odpowiedni sposób przypominać o dorobku, żeby dbać o właściwe jego porządkowanie, wartościowanie i eksponowanie?

Bo może się okazać, że sami — twórcy, działacze i dysponenci środków — jesteśmy bez porównania więcej winni, niż Sandauer czy Przyboś, którzy mogli po prostu w fer worze dyskusji dlatego nie wspomnieć o Łodzi, gdyż w ich zamiarze nie leżała dokład na wyliczanka.

Wulgaryzując — chodzi o to, jak my sami sprzedajemy artystyczny, naukowy i kulturalny dorobek miasta?

Poprzestańmy na kilku przy kładach, gdyż piszę glosę nie zaś artykuł. Niejednokrotnie zresztą w przeszłości zabierałem głos w tych sprawach, spotykając się z szyderstwem, wolno mi więc ograniczyć się tym razem do przyczynkarstwa.

Jak wiemy, wychodzi wielka encyklopedia powszechna. Inne miasta uważnie ją czytają i atakują, wytykając pominięcie różnych haseł z nazwiskami, pojęciami i faktami. Robi to od dawna krakowskie „Życie literackie", ostro występują katowickie „Poglądy". Czy zabrano u nas głos na ten temat? Bo przecież wolno przypuszczać, że już teraz okazałoby się, iż „łódzkich" przeoczeń i zaniedbań jest wiele. A nie jest na to za późno, bowiem wiadomo, że tego typu wydawnictwa z reguły uzupełniają edycję dodatkowymi tomami.

Co roku MRN i WRN (w mniejszym zresztą zakresie, co jest zrozumiałe) przyznają rozmaite nagrody za działalność artystyczną, naukową i kulturalną. Takie nagrody mają przede wszystkim znaczenie moralne, mówią o sukcesie moralnym laureatów, ich bowiem skromna wartość pieniężna, to w razie czego rzecz drugorzędna, aczkolwiek nie zasługująca na lekceważenie.

Co może decydować o moralnym znaczeniu takiej nagrody? Ano między innymi odpowiednio reprezentacyjny i fachowy dobór jury. Wierzę, że na nagrody literackie mają decydujący wpływ autentyczni pisarze (gdyż samo członkostwo ZLP świadczy raczej o pewnym minimum sprawności), na naukowe lub malarskie znani naukowcy i malarze. Wyobrażam sobie jak każde jury namiętnie dyskutuje, jak się wykłóca, jak zbie ra po kilka razy, żeby uzgodnić sprzeczne stanowiska poszczególnych swoich członków. Sądzę, że często dochodzi do ostrych spięć, gdyż kandydatów w naszym mieście nie braknie, że ktoś tam nawet za każdym razem zgłasza swo je votum separatum. Ach, cie kawe i dyszące polemiką muszą być te protokóły posiedzeń! Jaka więc szkoda, że wszystko otoczone jest gęstą i lepką mgłą tajemnicy z uszczerbkiem dla społecznego znaczenia tych nagród, dla ich rangi i rozgłosu.

I bardzo za każdym razem żałuję, że nie przestrzega się dobrego a starego w życiu polskim obyczaju, polegającego na podawaniu do publicznej wiadomości nazwisk człon ków jury, a nawet co celniej szych fragmentów ich wypo

wiedzi. Krzywdzi się w ten sposób laureatów. Bo nie wszyscy wierzą, jak ja wierzę, w taki przebieg posiedzeń jurorów. Ludzi trzeba przekonywać, zdarzają się nieufni i sceptyczni.

Skoro mowa o jurorach! Przeczytałem właśnie regulamin konkursów poetyckich, połączony z wiadomością o ogólnopolskim festiwalu poezji, jaki ma się odbyć w Łodzi. Nie jest to jakaś oszałamiająca świeżością inicjatywa, ale niełatwo wymyślić coś nowego i atrakcyjnego. Skład sądu konkursowego orientuje ew. uczestników konkursu w smaku, w wymaganiach i w rozumieniu poezji. Niestety, jak czytam w regulaminie „imienny skład Sądu Konkur sowego zostanie ogłoszony w późniejszym terminie". A więc gra w ciemno! A więc niektórzy ambitni i poważni poeci machną na ten konkurs lekceważąco ręką. Rozumiem trudności techniczne, niemniej już w regulaminie należało podać przynajmniej kilka nazwisk spośród zapowiedzianego 11-osobowego Sądu! Tak się praktykuje w naszym kraju...

Jedźmy dalej! Mimo iż być może, „nikt nie woła".

Co roku w prasie krajowej, właśnie o tej porze, pojawiają się wraz z wiadomościami o przylocie ptaków i zniżce cen na jaja informacje o planach poszczególnych wydawnictw. Zawsze skwapliwie szukam za powiedzi Wyd. Łódzkiego i na ogół ich nie znajduję. (Była w „Polityce" informacja, ale innego typu, w dodatku z inicjatywy redakcji „Polityki".) Kto ma o to dbać? Artur Sandauer? Książę Edynburga? Zygmunt Fijas, człowiek skory do entuzjazmu, ale pozbawiony instytucjonalnego zaplecza?

Nie widuje się nawet łódzkich zapowiedzi w... „Przeglądzie księgarskim", ha!

Wspólnie z Janem Koprowskim zgłosiliśmy się na jesieni 1964 roku do wydawnictwa z inicjatywą przypomnienia cennej felietonowej puścizny Jerzego Wyszomirskiego, gdyż w tym mieście pracował po wojnie i tu zmarł. Na inicjatywę chętnie przystano, ale jej realizacja to już coś z gehenny wydawniczej.

Gdzie są wiersze Mieczysława Brauna?

Gdzie choćby maleńka mono grafia z czarnymi reprodukcjami (innych w tym wypadku nawet i nie trzeba), poświęcona życiu i twórczości Kazimierza Grusa? Inni chętnie pod byle pretekstem adap tują twórców, my się ich de facto wyrzekamy!

Stawiam te pytania od lat. I już tylko przykładowo pytania z różnych dziedzin.

Kto na przykład czytał w ostatnim okresie fachowe recenzje o naszych malarzach, stale przecież wystawiających?

Gdzie bibliografia łódzkiego powojennego dorobku naukowego i literackiego, co z kolei powinno wyjść z pracowni uniwersyteckich? (Robią to chociażby w Lublinie, by wymienić nazwisko Jerzego Star nawskiego).

Dlaczego almanach ZLP „Osnowa" nie może ukazać się nawet raz do roku, choć obiektywnie istnieją takie mo żliwości? Indolencja zespołu redakcyjnego czy opieszałość Wydawnictwa?

Bardzo przepraszam za te zwischenrufy! Ale przecież wolno mniemać, że poruszoną przez Mariana Piechala kwestia jest ważna, należy ją oświetlić w miarę wszechstron nie. Chyba że... nikogo te spra wy w naszym mieście tak na prawdę nie interesują. Na wszelki więc wypadek jeszcze raz serdecznie wszystkich przepraszam, powołując się na pewnego poetę:

Stoję sobie nad jeziorem,
W piersi rzewne tłumię żale
I kamyczek po kamyczku
Rzucam z wolna hen na fale...

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

OBRAZY WODĄ MALOWANE

Wystawa „Grupy XX" (Piotrkowska, Pałacyk) jest wydarzeniem niewielkiej miary. Nie tylko dlatego, że to jedna z wielu tej samej grupy nazwisk jakże przecież bogatego i ciekawego okresu. Mimo, że organizatorzy wyszli poza spojrzenie prywatne i udało się im osiągnąć cel, który sobie postawili: możliwie pełne zilustrowanie epoki malarskiej, niepominięcie żadnego z ważniejszych nurtów, które się na ten obraz złożyły. Oczywiście, znaczy to, w mojej nomenklaturze, że wystawa wolna jest od wszelkich sugestii interpretacyjnych, na co sami autorzy obrazów nie zwracają żadnej uwagi, znaczy to także, że tą małą wystawa pełna jest wielkich niekonsekwencji i sporych przeoczeń. Ale o tym na samym końcu. Faktem jest, że dano, (komu?) vademecum malarstwa ostatnich lat. Niech mówią liczby. Wystawa liczy około 30 prac, obejmuje wybór obrazów 8 malarzy. Do tej pory jeśli się chciało poznać malarstwo współczesne, trzeba było grzebać w tygodnikach, zajmujących się kulturą i w wydawnictwach poświęconych współczesnemu malarstwu. Co zresztą dla niektórych wydaje się być czynnością nader miłą, lub szukać dobrych wystaw trudnych na ogół do znalezienia. Ofiarowana przez ZMS wystawa nie niweluje wprawdzie tego trudu, daje jednak wiedzę jak gdyby czwartego stopnia. Dla najmniej wybrednych i samodzielnych jest ona na pewno wstępnym przewodnikiem. Malarstwo „Grupy XX" to nieznośny obraz czasu. Jeśli stwierdzilibyśmy słabość tej sztuki, to stwierdzić by trzeba słabość jej okresu. Tak jednak nie jest. Jest bowiem zrozumiałe, że nie jest to jedynie ocena wartości estetycznych, a przede wszystkim — moralnych. Twórców obowiązuje kształtowanie wyobraźni swojego odbiorcy z pełną odpowiedzialnością za metodę wychowawczą. Precyzując mój punkt widzenia na malarstwo, niedwuznacznie wskazuję, że prawdziwa sztuka jest przede wszystkim związana z postawą wobec świata — etyczną, filozoficzną czy ideową. Jeżeli obraz nie ma w sobie formy jednoczącej te wszystkie elementy, malarstwo nie ma wówczas większego znaczenia. Gdyby się czysto zewnętrzne chwyty malarzy „Grupy XX" ujaw niło, okazałoby się, że ich konwencje w małym bardzo stopniu różnią się od klasycyzmu rodzimych postimpresjonistów i socrealistów. Dodajmy obrazom tym przedmiot, a będzie to z całą pewnością „nowa łódzka szkoła realistyczna". Nikt z wyjątkiem Pierzgalskiej, Balickiego i Kudelskiego, nie zdołał wzbogacić go o minimalne chociaż wartości estetyczne. Pierzgalska, gdyż w swoich grafikach zobaczyła trwałe wartości w narodowym prymitywie, Kudelski, który wykorzystuje renesansowe motywy z nie dość jeszcze wyraźnym do nich dystansem ironii, Balicki, ponieważ organizuje swoje płótna inwencją malarską. Któż więcej? Z tej grupy, chyba nikt. Bo przecież wprawki warsztatowe Henryka Strumiłły i małżeństwa Kudykisów nad rodzajem i sposobem robienia obrazów wydają mi się raczej zjawiskiem wtórnym. Doszedłem do końca indeksu nazwisk z „Grupy XX". Są mi one najlepiej znane. Pozostałych autorów wystawy ofiarowuję krytykom, którzy ze szczególnym upodobaniem zajmują się roz wiązywaniem wszelkiego sensu i kabalistyki. Zajęcie to jest podobne przy zachowaniu wszystkich proporcji do rozwiązywania krzyżówek przez znudzone panienki. Przykład: szare i brudne obrazy Szonerta. Przykład pierwszy z brzegu, obrazów, które na wystawach kapistowskich świetnie przyczyniłyby się do wywołania w umysłowości widza samodziel ności myślenia. Po żmudnej analizie doszedłby on jednak do wniosku: malarz stworzył obrazy szare i brudne i stąd to złudzenie jakby po wierzchnia tych obrazów była właśnie taka. Zawartość jednak poznawcza takiej konwencji, dla ludzi, którzy dawno i na wylot przejrzeli reguły i regułki tzw. szlachetnej kolorystyki prawie żadna. Przecież w świecie malarstwa powinna być niezależność przypadków, oddziaływanie ich na siebie, a także logika procesów w ewolucyjnej ciągłości. A przecież ci wszyscy młodzi twórcy mają wyjątkowe przygotowanie. Są absolwentami PWSSP w Łodzi. Jedynej w Polsce uczelni, która poprzez swój program uczy każdego studenta, aby wiedział czego chce od siebie i świata. Wystawa „Grupy XX" nie jest na szczęście pełną reprezentacją młodych łódzkich malarzy, ani nie jest zbytnio wyselekcjonowana. Do proporcji reklamy i środków im przeznaczonych można mieć poważne zastrzeżenia. Zbyt dużo wysiłku wkłada się w eksponowanie — o czym już pisałem — epigonom wszelkiej maści. Ta skłonność do konwencji wtórnej powoduje, że i tak już nieco rozrzedzony obraz współczesnego malarstwa staje się jeszcze bardziej wodnisty. Wydaje się, że niepotrzebnie zawężono ekspozycję, z okazji Sympozjonu Młodych Twórców, do osób wchodzących w skład „Grupy XX". Lojalnie jednak należy stwierdzić, że organizatorzy wystawy trochę naruszyli „oficjalne" wartościowanie, które wciąż widzi jeszcze jedynie malarstwo tzw. przedstawiające, przedmiotowe i choć nie są pierwszymi, którzy próbują przesunąć akcenty w układzie malarstwa współczesnego, próbę taką należy odnotować.

SPEKTAKLE tygodnia

TEATR

NOWY	„Dożywocie", 2 spektakle	1.415	— 100%
	„Jeszcze raz o miłości", 4 spektakle	2.800	— 100%
	„Bliźniaki z Wenecji", 1 spektakl	713	— 100%
	„Ali Baba ", 1 spektakl	710	— 100%
MAŁA SALA	„Drewniana miska", 2 spektakle	410	— 100%
	„Anioł na dworcu", 3 spektakle	617	— 100%
	„Lekcja", i „Szaleństwo we dwoje", 2 spektakle	360	— 87%
POWSZECHNY	„Robin Hood", 1 spektakl	558	— 84%
	„Tango", 2 spektakle	1.268	— 95%
	„Dom otwarty", 1 spektakl	668	— 100%
	„Maskarada", 4 spektakle	2.284	— 85%
JARACZA	„Kaukaskie koło kredowe", 5 spektakli	3.170	— 95%
	„W pustyni i w puszczy", 2 spektakle	1.332	— 99%
7.15	„Kłamczucha", 4 spektakle	1.716	— 100%
OPERETKA	„Sewastopolski walc", 6 spektakli	5.893	— 88%

MARIAN PIECHAL

MICKIEWICZ PISAŁ O ŁODZI

(SENSACYJNE REWELACJE WILEŃSKIEGO POLONISTY)

U nas spokój, u nas martwa cisza, a tuż obok przez ścianę u jednego z naszych sąsiadów wre sroga bitwa, prawdziwy bój — na szczęście — słowny, którego polem są papierowe stronice czasopism naukowych i literackich, a narzędziami walki pióra i języki uczonych.

Wywołał ją swoją rewelacyjną rozprawą pt. „Mickievicius inkonigas" (to znaczy po polsku „Mickiewicz nieznany") wydaną przed kilku tygodniami nakładem Spółdzielni Naukowej „Pogoń" w Wilnie, młody litewski wykładowca literatury polskiej, magister Jacent Procent, który ostatnio — właśnie na zasadzie ogłoszonej rozprawy — habilitowany został na docenta.

Postawił on w niej problem o kapitalnym znaczeniu naukowym i nadzwyczajnym wprost kapitelu, a mianowicie: kim był właściwie ów tajemniczy Mazur z wiersza Mickiewicza „Golono, strzyżono"? Od lat ciągnie się ta sprawa, można powiedzieć, ślimaczy się niezdarnie — ba! — od przeszło wieku głowią się nad nią najtęższe tuzy naszego literaturoznawstwa, najwnikliwsi koneserzy i komentatorzy przedmiotu, a wszystko na nic, bo ugrzęźli na tym, że skoro Mickiewicz w swoim utworze mówi o Zgierzu, to ów Mazur musi być zgierzaninem.

Argumenty docenta Jacenta Procenta dowodzą właśnie cze goś wprost przeciwnego. Poparł go w tym znany komparatysta struktorologiczny ze sławnej szkoły Jakobsona, specjalista w zakresie semiozoologii słowiańskiej prof. Anatol Bagnet, zwracając szczególną uwagę na wers „Mieszkał Mazur blisko Zgierza" i dowodząc, że akcent oksytoniczny leży tutaj na polimerze słowa „blisko", a nie na trybie komplementarnym słowa „Zgierz". Powołuje się przy tym na opinię austriackiego slawisty, doktora Stanislausa Kaschinsky'ego, który twierdzi, że aczkolwiek w rzeczonym wierszu Mickiewisza jest mowa o Zgierzu, to jednak nie ma mowy o nim, tylko o jego pobliżu. A więc gdzie jest to pobliże?

I tu właśnie docent Procent stawia kropkę nad i: w Łodzi! Należycie i niezbicie dowodzi, że w Łodzi. To pobliże czyli ściśle mówiąc owo Mickiewiczowskie „blisko" to właśnie Łódź. Świadczą o tym liczne i autentyczne realia wiersza. Wskazuje na nie umiejętnie i ewidentnie nasz uczony, przytaczając odpowiedni szereg argumentów historycznych i onomastycznych.

W utworze Mickiewicza jest mowa o kłótni Mazura ze swą żoną na temat tego, czy ich odnaleziona suka jest ogolona, jak twierdzi Mazur, czy też ostrzyżona, jak twierdzi jego żona. Mazur nie mogąc przekonać swej upartej połowicy „wlecze ją wprost do sadzawki", jak mówi poeta, grożąc jej utopieniem, ale ona

„Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce
I w odpowiedzi palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi przed nosem strzyże".

Otóż w jakiej to dzieje się „sadzawce"? — pyta zjadliwie wileńskiego docenta magistra Aniela Gowalska w ostatnim numerze łódzkich „Prac Polonistycznych". Czy ta „sadzawka" nie mogła być w Zgierzu? Oczywiście, odpowiada zaatakowany docent, mogła być, a nawet istnieje i dziś taka „sadzawka" w Zgierzu, ale nie o nią chodzi w wierszu Mickiewicza, tylko o tę w Łodzi. Dowodzi tego zakończenie wiersza, w którym Mazur

„Na ten widok uciekł z wody.
Ona poszła do gospody,
On się puścił aż do Zgierza
I tam przystał na żołnierza".

Bo przecież skoro „się puścił aż do Zgierza" po ucieczce „z wody", to przecież ta „woda" czyli „sadzawka" nie mogła być w Zgierzu, tylko eo ipso w Łodzi. A dlaczego w Łodzi? Bo „ona poszła do gospody", a właśnie „gospoda" w owe czasy nie mogła być nigdzie indziej tylko w Łodzi.

Istotnie. Gospoda, o której mowa w utworze Mickiewicza, istniała w naszym mieście. Na dowód tego docent Procent przytacza pewien pas sus ze str. 29 słynnego dzieła Henryka Stanisława Dintera p.t. „Dzieje wielkiej kariery" (Łódź 1332—1860): „Naprzeciw kościoła, po zachodniej stronie Starego Rynku w Łodzi mieściła się od dawna karczma plebańska". A karczma to gospoda (patrz: Aleksander Brückner „Encyklopedia staropolska", t. I, str. 543). Chodzi więc już tylko o tę „sadzawkę", czy była w Łodzi wpodle tej karczmy, czy też nie. Otóż była. Dowodzi tego tenże sam H. St. Dinter w tymże samym dziele na str. 28, gdzie czytamy: „Ulica przez rzeczkę Łódkę szła mostem zbudowanym na stawidle, gdyż zaraz za rynkiem od bagien staromiejskich aż po trakt piotrkowski rozciągało się duże rozlewisko rzeczne, ujęte w staw".

Otóż w tym stawie czyli w sadzawce (patrz „Słownik" Lindego, tom V, str. 447) Mazur pławił swoją krnąbrną żonę. Cały tedy utwór p.t. „Strzyżono, golono", napisany w roku 1840, mówi o Łodzi, a nie o Zgierzu, aczkolwiek w nim mowa o Zgierzu, a nie o Łodzi. A ponieważ historia literatury nie notuje żadnego innego utworu o Łodzi przed tą datą, wynika z tego niezbicie, że pierwszy chronologicznie poeta łódzki, to nikt inny tylko — Adam Mickiewicz!

Ale to dopiero początek rewelacji naukowej wileńskiego filologa. Najważniejszą niespodziankę, jeśli tak można powiedzieć, prawdziwą bombę wodorową bulwersacji, zamieścił na samym końcu swego dzieła w myśl starożytnej maksymy: Finis coronat opus! Oto ni mniej ni więcej, tylko ujawnia, że pośród pożółkłych szpargałów starej celi bazyliańskiej w Wilnie, gdzie więziony był młody Mickiewicz jeszcze jako student, odnalazł fragment rękopisu dalszego ciągu „Pana Tadeusza", zapowiadanego przez poetę w listach do przyjaciół, matki Makryny Mieczysławskiej i osławionej Xawery Wandy Deybel—Lipiecowej.

Bohaterem tego, niejako dru giego tomu „Pana Tadeusza", miał być właśnie ów „Mazur blisko Zgierza", który wraz z wojskami Napoleona powędrował po sprzeczce z żoną na Litwę do Soplicowa, tam odbił Rejentowi Telimenę i, nie ożeniwszy się, powrócił z nią jako markietanką do Łodzi, gdzie zasadził ją do roboty za warsztatem tkackim, zwanym odtąd krosnem. Że akcja poematu istotnie toczy się w Łodzi, świadczy o tym ów cudem zachowany fragment, a właściwie początek zamierzonego poematu. Oto on:

„Łodzi, ojczyzno moja, ty jesteś jak sadza,
Ilu cię z tego względu dla Warszawy zdradza,
Ten tylko to odczuje, kto powiew z Widzewa
Wdechnie wraz z dymem, któ rym każdy komin ziewa".

Niektórzy z uczonych podali w wątpliwość rzekomą autentyczność odnalezionego autografu. Jednak wnikliwsza ana liza stylometryczna tekstu oraz jego stratyfikacyjna ideografia rozwiała wszelkie pod tym względem zastrzeżenia. Poza rodzajem papieru i gatunkiem czernidła, tak charakterystycznymi dla epoki Mickiewicza, na rzecz autentyczności tekstu świadczy jedno w nim słówko, a mianowicie „wdechnie", którego dzisiaj nikt już nie używa, a którego mógł użyć w swoich czasach tylko jeden jedyny Adam Mickiewicz. To czcigodnie prastare słówko „wdechnie" jest analogiczne na zasadzie semantycznego kontrastu do również czcigodnie prastarego słówka „zdechnie", o którego różnicy decyduje partykuła „w" wymienna na partykułę „z" w procesie fonicznym tak zwanej prefiksowej zamienni. Ta syntaksa echolaliczna to argument nie do odparcia. Sprawę autentyczności przytoczonego wyżej znaleziska rozstrzygnął autorytatywnie i ostatecznie znany autentysta prof. dr Stanisław Czernik.

Podobno znakomici egzegeci rękopisów Adama Mickiewicza prof. Józef Kalenbach, prof. Maurycy Kawyn i prof. Stefan Skwarczyński wiedzieli o tym znalezisku na długo przed pierwszą wojną światową, ale powodowani, jakże zrozumiałą dzisiaj, klasową nienawiścią do ówczesnego ustroju, nie chcieli ujawniać przedwcześnie tego rewelacyjnego tekstu i tym samym robić niczym nieuzasadnioną konkietę Łodzi kapitalistycznej. Tym większa zasługa wileńskiego docenta!

STANISŁAW CZERNIK

„PUNKT OPARCIA" MARIANA PIECHALA

Latem 1965 roku ukazał się ozdobnie wydany zbiorowy tom wierszy Mariana Piechala, summariusz czterdziestu lat pisarstwa poetyckiego, z profesorskim wstępem Jana Zygmunta Jakubowskiego. Jubileuszowy charakter publikacji i aluzyjny tytuł „Miara ostateczna" nasuwały przeświadczenie, że mamy do czynienia z momentem zamknięcia dzieła poetyckiego i ostatecznej stabilizacji poety na pozycjach klasyka.

Jeszcze krytyka nie zdołała ustosunkować się do tej trudnej i bogatej całości, gdy oto klasyk zaskoczył nas nowym tomem poezji, „Punktem oparcia" (wydanie „Czytelnika"). Niespodzianka polega na tym, że ukazał się nam poeta inny, zmieniony, wyskakujący ponad dotychczasową swoją miarę, nie powiem, że w znaczeniu rewolucyjnym, gdyż byłoby to pewnym uproszczeniem wobec wiecznie rewolucyjnego poety. Nie musi być rewolucją skuteczna wyprawa odkrywcza, chociaż może mieć znaczenie rewolucji. Taką wyprawę w głąb własnej poezji odbył Marian Piechal, wyprawę nieomal bez precedensu, jeżeli wziąć pod uwagę niemłody, ale dojrzały wiek autora. Chociaż przemiana, jaką dostrzegamy w „Punkcie oparcia", na pewno tkwi głównymi korzeniami w poprzedniej twórczości Piechala, niemniej jest mocnym skokiem wzwyż, ponad dotychczasowy, zdawało się, uświęcony już, nienaruszalny pułap, istotnie przezwyciężony głową i talentem.

Na czym polega ta zastanawiająca zmiana? Niełatwo odpowiedzieć na takie pytanie. Raczej wyczuwam niż precyzuję. Nazwałbym ją dążeniem do pełnego uwspółcześniania doznań poetyckich. „Uwspółcześnianie" w moim pojęciu nie oznacza jakichś zabiegów w zakresie pochopnego unowocześniania, tak w dzisiejszej poezji pospolitego, że staje się żenującym banałem. Uwspółcześnianie to chyba właściwie pojęta nowoczesność — bez sztuczek, bez udziwnień formalno-treściowych, bez „pegaz dęba", bez jakiegokolwiek tabu w starym lub nowym znaczeniu. Współczesność bowiem dostarcza poezjotwórcom takiego ogromu materiału nietkniętego dotychczas przez myśl poetycką, że wszelkie próby jej rzekomego wzbogacania oznaczają chyba brak spostrzegawczości lub prostackie lekceważenie tych bogactw. Autor „Punktu oparcia" jak najbardziej daleki jest od wszelkiego banalnego nowatorstwa. Uwspółcześniając poezję nie stroni od tradycji, przeciwnie — czerpie z niej wiele. Nie obawia się rymu, gdy chce — pisze ludowym, rymowanym dystychem, poezję pastorałek przekształca w wizję historiozoficzną, syntetyzuje romantyzm z antyromantyzmem, urozmaica rodzaje wypowiedzi, stosuje miniaturę i groteskę, hymn i modlitwę. Nie naśladuje nikogo, ale jedno wydaje się pewne — najbliższy jest Norwida. Sam norwidolog, autor studium „O Norwidzie" (1937), najwłaściwiej zapewne ujął i zastosował wskazania autora Vade-mecum: „odpowiednie dać rzeczy słowo".

Poezja Mariana Piechala wprowadza w chaos antynomii współczesnego świata, w przepaść przeobrażeń, podejmując sprawy generalne naszej epoki, podejmując i, oczywiście, nie próbując rozwiązywać.

Sprawa kondycji, doli, losu ludzkiego w nieokreślonych granicach między makro- a mikro-kosmosem, oto naczelny niepokój poezji. Bynajmniej niejednostronny, nie tylko ludzki, także ponadludzki. Sytuacji człowieka przeciwstawia się kondycję kamienia, który

w uchwytnym kształcie
mieści
sens nieuchwytnej treści.

Doli ludzkiej przeciwstawia też kondycję rośliny, starszej siostry naszej, odwiecznej w swej niezależności. Człowiek, „ślepy demiurg" dzierżący w rękach berło globu, czuje się bardziej zależny niż roślina, on, „brat jej, jeszcze niemowlęcy".

Młodszość, czy też najmłodszość człowieka wśród istot ziemskich odczytuje poeta w swoistej, wcale nie biblijnej księdze rodzaju: „przykładam ucho do ziemi — i słyszę jak miliardy — moich przodków w jej wnętrzu — dobierają się od spodu — do roślin i wysokich drzew".

„Kosmos ukrył się we mnie" — twierdzi uczłowieczona drobinka mikrokosmosu, deklarując swoje „imperium wewnętrzne", mocarstwo suwerenne od snu do marzenia, potężne ekspansją myśli, wyobraźni, intuicji, ale bezbronne, proponujące pakt nieagresji innym podobnym mocarstwom-drobinkom.

na zasadzie obustronnej
dobrej woli,
pod warunkiem poszanowania
wspólnych miar zdrowego
rozsądku,
absolutnej nieingerencji
w prywatną dziedzinę
marzeń,
w praktykę wzajemnych
przekonań,
w ustawodawstwo cech
wrodzonych,
w konstytucję własnego
sumienia,
w porządek prawny mego
charakteru,
w mój ustrój psychofizyczny,
w stany zjednoczone moich
uczuć,
w związek radziecki moich
myśli,
w rzeczpospolitą moich słów.

Bogactwa tej poezji nie można wyczerpać kilku przykładami. W całej książce pełno prób zsyntetyzowania wielkiego niepokoju i drobnej nadziei człowieka, który „nie ma miejsca na pokorę lub pychę".

Jasność wypowiedzi. A gdzie jest jasność, nie może być niezrozumiałości. Nie ma tu słów bez powodu, ani jedno nie zostało użyte nadaremno, wszystkie z potrzeb i konieczności. Czasem wydaje się, oczywiście niesłusznie, że poeta zastosował za wielkie skróty, doprowadzając zwięzłość wywodów do skrajnej aforystyki, sentencji i maksym. Ale to naprawdę chwalebna oszczędność, zgodna z wyrażoną przez poetę myślą scalającą: „uczmy się od kamienia — mądrej mowy milczenia".

Króciutko sygnalizując na tym miejscu ukazanie się „Punktu oparcia", z lekka tylko dotykam ważnego przedmiotu. Nie wątpię, że właściwa ranga dzieła rychło zostanie dostrzeżona i odpowiednio oceniona przez krytykę i historię literatury. Taka jest bowiem „natura" nowej poezji Mariana Piechala, że musi rozbroić wszelkie, jakiekolwiek by były uprzedzenia i osiągnąć w opinii literackiej i nieliterackiej należną pozycję dziś i w przyszłości.

Niektóre czasopisma, oceniając nowości wydawnicze, wprowadzają osobliwe rubryki, np. książka tygodnia, książka miesiąca. A mogłaby być też „szufladka" i dla książki roku. Ja jednak umieściłbym „Punkt oparcia", w kasecie nie przemijających książek dnia — współczesnego, najbardziej współczesnego dnia poezji polskiej.

Domaniewice — XVII w.

KRONIKA Antytelewizyjna

DWA UDANE PRZEDSTAWIENIA I...

„Huzarzy" Piotra A. Breala w przekładzie znanego eseisty Wojciecha Natansona, jeśli szukać nowszych porównań, klimatem przypominają znakomity film „Fanfan Tulipan" z nieodżałowanym Gerardem Philipe'em w roli głównej.

Była to sympatyczna komedio-farsowa zabawa z podtekstem. Różnie dzieje się na wojnie i różnie, w zależności od poczucia moralnego, przynajmniej do pewnego stopnia, można wykonywać okrutne rozkazy.

Przedstawienie było wartkie, umiejętne rozwiązania sytuacyjne (są one możliwe!) dodawały mu wyrazu, liczne przesilenia akcji dobrze wypunktowano, aktorzy spisywali się bez zarzutu, wodzirejami, ze względu na role i grę, byli Józef Nalberczak i Gabriel Nehrebecki, ambiwalentne uczucia — strach przed żołnierzami i marzenia o miłosnym przeżyciu — doskonale uwydatniła Jadwiga Barańska.

„Pierwszy i ostatni" Johna Galsworthy'ego (1867—1933), to przeróbka opowiadania w przekładzie Wandy Kragen. Na pewno dla moralnej problematyki tego opowiadania da się znaleźć liczne odnośniki i w naszej współczesności, choć rzecz się dzieje w Anglii. Ostro zarysowany konflikt: z jednej strony filar społeczeństwa, człowiek bez skrupułów, reprezentujący w dodatku wykładnię prawa, podporządkowujący wszystko karierze i zachowaniu nazwiska, z drugiej: jego brat, zakochany pijaczyna o poetyckim usposobieniu, morderca mimo woli, choć przeniknięty nienawiścią do swojej ofiary, wierny sumieniu, wierny samemu sobie, jak u Conrada. Przeciwstawienie charakterystyczne dla epoki mieszczańskiej obłudy, ale znowuż nie bez odnośnika współczesnego. U nas też najchętniej i najłatwiej kompromitujemy ludzi pijących, łapownictwo i nepotyzm na przykład łatwiej wybaczamy lub łatwiej na to się godzimy. Przysłuchiwałem się kiedyś głośnemu procesowi łódzkiemu, którego głównym ujemnym bohaterem był skorumpowany prawnik-aferzysta. Milicja wystawiła mu dobrą opinię, bo... nigdy nie widziała go zataczającego się.

Leszek Herdegen to był pogłębiony Larry. Wszyscy aktorzy dobrze wywiązali się z zadania. Wydaje się, że przedstawienie należało zakończyć sceną spalenia listu do władz wymiaru sprawiedliwości, reszta była już niepotrzebna.

Dla piszącego te słowa dodatkową satysfakcję sprawiło usłyszenie fragmentu jednego z najpiękniejszych wierszy Apollinaire'a „Prześliczna rudowłosa".

W „Kinie krótkich filmów" red. Michałek pokazał nam węgierską krótkometrażówkę, przypominającą obozy, „Pielgrzymkę 1965", a następnie, bez żadnej cezury, głupawy reportażyk o wędrówce osławionego żubra „Pulpita". Nie miało to wartości dokumentalnej, choć cała ta wędrówka nastręczała możliwości zrobienia interesującego zapisu, nie miało też wartości rozrywkowej, mimo iż tekst ballady wyszedł spod pióra cenionej przez nas Agnieszki Osieckiej. Z ballady zapamiętałem coś w rodzaju: „Żubr napotkał rzekę wielką, nie przepłynie, nie jest wszak muszelką"... Z rymem w porządku, ale ze znajomością elementarnych praw fizycznych gorzej.

Idzie jednak o sprawę znacznie ważniejszą: o porządek, o nieprzemyślane zestawienie rzeczy całkowicie ze sobą sprzecznych, wykluczających się, o nieliczenie się z emocjonalną stroną percepcji, cóż to za sąsiedztwo: podróż do Mauthausen i wędrówka żubra! Takie potknięcia zdarzają się, niestety, dość często. Przypomina to znacznie bardziej żałosną sytuację muzyki: ponieważ wszystko jest nią ilustrowane, muzyka przestaje mieć jakiekolwiek znaczenie, coraz częściej bywa unieważniana.

W dyskusji na temat „Kultura polska na szlaku Wschód — Zachód" wzięło udział naszych czterech znakomitych i znanych profesorów. Przyznam się, że czekałem na tę audycję ze szczególnym zainteresowaniem. Niestety, dyskusja nie rozwinęła się, temat nawet się nie zarysował, choć wiem dobrze, że każdy z jej uczestników, gdyby wystąpił na przykład indywidualnie, powiedziałby nam bardzo wiele rzeczy istotnych, może nawet rewelacyjnych. Kto zawinił, że zgubiono proch z panewek i pistolety nie dały ognia?!

Wydarzeniem była natomiast kolejna audycja „Studia 63", poświęcona tym razem poezji naszego Oświecenia. Przejrzystsza dla laików, niż prezentująca poezję barokową. Wiersze obywatelskie recytowano jakby dyskursując czyli w sposób najwłaściwszy. Audycja była wyraźnie związana z rocznicą Konstytucji 3 Maja. Z tego powodu w doborze tekstów zbytnią przewagę miały związane ze swoim czasem utwory polityczno-społeczne z uszczerbkiem dla klejnotów lirycznych.

Na zakończenie skarga w imieniu Pań i Panów piszących na maszynie: produkcja naszych taśm maszynowych zasługuje na Znak Nijakości!

Jan Huszcza

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

„BANDYCI Z ORGOSOLO" — nagrodzony aż pięciokrotnie film Vittorio de Sety rozpoczął swą włoską karierę pięć lat temu. Na festiwalu weneckim mówiło się wtedy o renesansie neorealizmu, wskazując na „Rozbójnika" Castellaniego i „Bandytów z Orgosolo" — jedne z najciekawszych dzieł konkursu. Kiedy Vittorio de Seta przystępował do pracy nad swym filmem fabularnym o pasterzach, miał już za sobą bogaty dorobek w dziedzinie filmu dokumentalnego; zdobył kilka nagród międzynarodowych oraz uznanie dla swych osiągnięć także i poza granicami kraju. Temat pasterzy z Sardynii zanim otrzymał swój kształt fabularny, przeszedł opracowanie dokumentalne. Zaważyło to w znacznej mierze nad ostatecznym uformowaniem opowieści. Przechodząc do „fabuły" de Seta nie przestał bowiem być dokumentalistą. Pozostał nim w swej dążności do ukazania autentycznych ludzi, autentycznych problemów, autentycznych pejzaży. W „Bandytach z Orgosolo" nie ma aktorów. Ludzie, których oglądamy, zaangażowani zostali na miejscu przez ekipę filmową. Żyłka dokumentalisty pomogła de Secie. Udało mu się tak poprowadzić swoich amatorów, że grając, tzn. odtwarzając przygotowaną z góry opowieść, pozostali sobą. Zasługa to i samej fabuły, która, choć fikcyjna, mówiła prawdę o życiu, o problemach tych ludzi. Film de Sety to wnikliwe i wstrząsające studium społeczno-obyczajowe. Ukazuje ludzi zepchniętych na margines społeczeństwa, żyjących w niesłychanie prymitywnych warunkach, ludzi, których jedyne zetknięcie z dzisiejszą cywilizacją, to strach przed karabinierami — wykonawcami praw obcych miniaturowemu społeczeństwu pasterzy, praw nienawistnych, często niesprawiedliwych, krzywdzących. Karabinier to zwiastun kłopotów, władza zakłócająca iście pierwotny tryb życia pasterzy. Prymityw i nędza ludzi z Orgosolo czynią z nich potencjalnych przestępców. Jest to przekleństwo losu, które zawisło nad ich głowami. Bo jeśli już na kogoś spadnie podejrzenie, to choćby niewinny był jak anioł — nie uda mu się wybronić. Dlatego w góry uciekają i ci, którzy faktycznie stali się przestępcami i ci niewinni, posądzeni tylko o wykroczenia przeciw prawu. Tragiczna to ucieczka. Wypełniona buntem i rozpaczą, spowodowana instynktem samoobrony, pragnieniem uniknięcia kary za przestępstwo nie popełnione, za zbrodnię nie dokonaną, łatwo skończyć się może przestępstwem, zbrodnią faktyczną. W ten właśnie sposób tragiczne są losy głównego bohatera filmu — pasterza Michele Jessu. Wstrząsający to film. Trudno wprost uwierzyć, że wyklęte przez Boga i ludzi Orgosolo to także Włochy; że dziś jeszcze możliwa jest w ciemnym zakamarku tego kraju taka historia. Film de Sety pełen jest jakiejś surowości. Oszczędny i poważny — tym mocniejszym staje się oskarżeniem. Jednocześnie jest to film bardzo piękny. Połowa w tym zasługi piękna pejzażu okolic Orgosolo. Góry, lasy, niebo i skały zachwyciły de Setę, podyktowały kształt jego obrazom. Zachwycają więc także i widza.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Amerykańska komedia obyczajowa Henry Kostera **„MR. HOBBS NA URLOPIE"** należy do znanego tam i lubianego gatunku „komedii rodzinnych". Polski widz miał okazję zapoznać się z tym gatunkiem oglądając filmy „Gosposia do wszystkiego" czy „Nie jedzcie stokrotek". Komedia Kostera jest filmem uroczym, bezpretensjonalnym, zabawnym. Największym jej atutem i atrakcją jest James Stewart, odtwarzający w niej główną rolę. Zyskała mu ona nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie w 1962 roku, uznana za najlepszą rolę męską konkursu. Partnerką Jamesa Stewarta, czyli filmową jego żoną, jest znana gwiazda amerykańska irlandzkiego pochodzenia, Maureen O'Hara. Ta niemłoda już dziś, choć ciągle jeszcze piękna aktorka, zyskała sławę międzynarodową jeszcze w 1939 roku rolą Esmeraldy w „Dzwonniku z Notre Dame". Odtwórczyni bardzo wielu ról filmowych, tańczy także i śpiewa z powodzeniem w rewiach i musicalach na Broadwayu, występuje i odnosi sukcesy w telewizji. Nie ona jednak błyszczy tu światłem pierwszej wielkości. Znakomity, a znany dobrze polskiej publiczności, James Stewart usuwa w cień wszystkich. Jest uroczy — zabawny i wzruszający jednocześnie, inteligentny i bezradny. „Mr. Hobbs na urlopie" jest miła, niefrasobliwa komedią. Ale i niczym więcej. Niechże więc wybiorą się na nią ci, którzy w kinie zechcą znaleźć dwie godziny odpoczynku, przyjemnej, nieskomplikowanej, łatwej rozrywki.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

CO TO JEST POP-ART?

■ Co to jest pop-art? Czym jest ten nowoczesny, żywiołowo rozwijający się kierunek sztuki, powstały w Ameryce, a przeszczepiany obecnie na grunt zachodnioeuropejski? Nazwa pop — art (popular art) w przybliżeniu określa go jako sztukę popularna. Niektórzy widzą w pop — arcie kontynuacje, negującego wszelkie wartości, dadaizmu.

Gdyby ta dziewczyna pojawiła się na plaży 70 lat temu, nikt nie powiedziałby, że jest piękna.

W Paryżu „światynia" pop — artu jest Galeria Sonnabenda. Według Sonnabenda artyści pop — artu szukają tematów do swoich obrazów w otaczającej ich codzienności, sądzą też, że sztuka nie może uciekać od tematyki industrializacji. Dla wyznawców tego kierunku metro jest tak czymś zupełnie naturalnym jak np. drzewa. Zużytkowują dla swych dzieł jako temat — wszystko. I telewizję, i kino, komiksy i życie ulicy.

Odrzucając estetyzowanie starają się o odnalezienie nowej formy piękna w banale codzienności i mechanizacji. Posługują się najrozmaitsza techniką, używając dla swej twórczości oprócz pędzla i farb, metalu, drewna, gipsu, czasem nawet samych przedmiotów.

Najbardziej znanymi artystami pop — artu są: Lichtenstein Wesley Jim Dine, Segal Warhol, a zwłaszcza Rauschenberg. Jeden z wybitnych artystów pop — artu w Europie, Raysse twierdzi, że ludzie obecnie jeszcze wciąż widzą świat, który ich otacza, oczami Renoira lub Gauguina. I tak np. gdyby jakaś dziewczyna, która dziś uchodzi za ideał piękna, pojawiła się 70 lat temu na plaży nikt wówczas nie zwróciłby uwagi na jej urodę. To co uważano za ideał piękna przed 70 laty nie jest nim dziś i na odwrót. Podobnie, chociaż sztuka abstrakcyjna weszła już do naszego życia poprzez desenie ubiorów, reklamy lub tkaniny dekoracyjne obrazy tego kierunku nie cieszą się zbytnim zainteresowaniem. „Jest świat, którego ludzie jeszcze nie widzą, zadaniem artysty jest go ukazać" — mówi Raysse. Tematem jednego z obrazów Martiala Raysse jest zestawienie gipsowego manekina z wizerunkami żywych dziewcząt, modelek, kobiet, które pozują do fotografii reklamowych lub występują na pokazach mód. Są to dziewczęta stale ubierane i rozbierane, zobojętniałe już na wszystko.

W obrazach artystów pop — artu spotykamy często równocześnie gloryfikację współczesnego świata i jego krytykę. Rauschenberg, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku, uzyskał Grand Prix na 32 biennale w Wenecji. Obecnie trwają już przygotowania do nowego biennale, na którym obrazy pop — artu będą rywalizowały z innymi kierunkami sztuki.

BŁYSKAWICZNA KARIERA AKTORKI

■ Mireille Darc jest jedną z najbardziej lubianych młodych aktorek francuskich. Niezwykle prostymi środkami potrafi ona osiągać ogromną zmienność wyrazu twarzy. Chce wyglądać na ekranie jak najbardziej naturalnie i współcześnie. Ostatnio gdy miała występować w filmie „Galia" kazała namalować sobie na twarzy sztuczne piegi.

Mireille Darc

Mireille Darc przybyła do Paryża z Tulonu nie mając pieniędzy. Aby się utrzymać i jakoś w Paryżu zaczepić szukała posady niańki do dziecka. Nianką nie została, ale otrzymała u pewnej hrabiny pracę w charakterze opiekunki... psa. Wkrótce udało się jej kilka razy wystąpić w telewizji. To wystarczyło. Bardzo szybko otrzymała propozycję do filmu. Zmieniła swe właściwe nazwisko Mireille Airoz na Mireille Darc oraz przemalowała swe czarne włosy na jasnoblond. Obecnie ma 27 lat. Grała już w teatrze, w telewizji i w kilku filmach.

PIERWSZY FESTIWAL SZTUKI MURZYŃSKIEJ

■ 24 kwietnia w Dakarze (Senegal) odbędzie się pierwszy Festiwal Sztuki Murzyńskiej. Przez miesiąc Dakar stanie się miejscowością, do której tłumnie napłyną turyści. Przewiduje się wiele atrakcyjnych imprez i tak np. w jednym z teatrów wystąpi „Modern Negro Ballet", wystawiona też będzie sztuka teatralna pt. „La tragedie du roi Christophe", której autorem jest Aimé Césaire, poeta murzyński (ur. 1913), piszący po francusku. Pod gołym niebem wystąpią balety z Mali, Nigerii, Wybrzeża Kości Słoniowej itd. W katedrze odbędą się śpiewy murzyńskie. Przewidziane są jeszcze inne liczne imprezy. Przyznawane także mają być w tym czasie w Dakarze liczne nagrody literackie. M. in. przyznana ma być nagroda za najlepszą powieść, zbiór wierszy lub esej, których autorem będzie czarny pisarz. Inna nagroda przewidziana jest za najlepszy reportaż o życiu czarnych. W tym jednak przypadku autorem może być i człowiek biały. Przewidziane są też nagrody za najlepsze nagrania płyt muzycznych oraz nagrody filmowe.

LITERATURA I MEDYCYNA

■ Stosunek pisarzy do choroby i jej leczenia, wiedza medyczna w dziełach literackich — oto tematy interesujących dociekań.

Od Montaigne'a do Czechowa, od Diderota, Balzaca, Verlaine'a do Maupassanta choroba lub leczenie stały się zagadnieniem poruszanym w dziełach literackich lub nawet inspiracja powieści lub opowiadań.

To ciekawe zagadnienie zostało opracowane i wydane w książce pt. „Médicine et littérature", której autorami są Léon Binet i Pierre Valerry — Radot.

Przy okazji dodajmy wiadomość, że jeden z placów w Lyonie został nazwany imieniem Jeana Reverzy, lekarza i literata w jednej osobie, autora powieści pt. „Le Passage" („Przejście"), nagrodzonej Prix Renaudot w 1954 roku.

TAJEMNICZY VERCORS

■ Miał wiele nazwisk: Drieu, Santierre... i to najważniejsze — Vercors.

Podczas niemieckiej okupacji tajemnica, jakie to prawdziwe nazwisko kryje się pod pseudonimem Vercors, była jedną z najbardziej strzeżonych przez członków francuskiego ruchu oporu. A prawdziwe nazwisko brzmi: Jean Bruller.

Urodził się w 1902 roku i jest znanym na całym świecie pisarzem. Ale Jean Bruller, z wykształcenia inżynier, swą artystyczną karierę zaczynał nie od literatury. Debiutował mając lat dwadzieścia cztery zbiorkiem graficznym pt. „21 recettes pratiques de mort violente" („21 przepisów na śmierć gwałtowną"). Do drugiej wojny światowej opublikował 6 albumów satyrycznych, a ponadto ilustrował książkę dla dzieci pt. „Patapouf et Filifère", której autorem był André Maurois.

Wybucha druga wojna światowa. Jean Bruller ranny w czasie działań wojennych, osiedla się następnie w małej wiosce alpejskiej. Ta wioska nazywa się Vercors. Od niej bierze swój pseudonim Jean Bruller, na długo potem przestając posługiwać się swym nazwiskiem. Działa jako Vercors. A działa dużo i owocnie. Jest członkiem ruchu oporu i współpracuje przy organizowaniu konspiracyjnej pracy francuskich pisarzy. Jest współzałożycielem działającego w podziemiu wydawnictwa literackiego „Editions de minuit". Pisze. Konspiracyjnie publikuje „Milczenie morza" (1942), opowiadanie tak dobrze znane polskiemu czytelnikowi, potem pisze oparte na przeżyciach wojennych opowiadania m.in. „Pochód ku gwieździe (1943). W 1946 roku wydaje „Oręż nocy".

Po roku 1946 zabiera się do pisania powieści. Powstaje świetna książka „Zwierzęta niezwierzęta", potem „Silva", cykl opowiadań p.t. „Sur ce rivage" „Na tym brzegu" (w polskim tłumaczeniu ukazał się wybór pt. „Droga okrężna i inne opowiadania"). Pasjonuje go problematyka moralna i społeczna, zagadnienia polityczne, motywy i skutki ludzkiego działania, docieranie do najskrytszych spraw i motywów osobistego działania. Słowem, interesuje go człowiek, w tym sensie w jakim interesował literaturę francuską w jej tradycyjnym, głęboko humanistycznym i postępowym nurcie.

Od czasu gdy przybiera pseudonim Vercors wielu sądziło że Jean Bruller nie żyje. I kiedy zaraz po wojnie zaproszono Vercorsa na wieczór towarzyski do pewnego belgijskiego bibliofila, usłyszał jak ktoś zastanawiał się, co się stało z grafikiem, rysownikiem i satyrykiem nazwiskiem Jean Bruller. Ktoś inny odpowiedział: „On nie żyje!". „Ależ to ja jestem!" — zawołał wtedy ten, którego wszyscy dobrze znali jako Vercorsa. Od tej chwili nie stara się ukrywać, że Jean Bruller to ta sama osoba co Vercors. Ale kiedy przygotował dekorację do sztuki pt. „Chińska sierota" wystawianej w Komedii Francuskiej reżyser nie chciał umieścić na afiszu właściwego nazwiska. „Publiczność nie wie kto to jest Jean Bruller" — oświadczył.

MALARKA, KTÓREJ PRZODKIEM BYŁ DŻENGIS-CHAN

■ W Brukseli wystawia swe obrazy młoda malarka, której przodkiem w prostej linii był Dżengis-Chan. Joyce Moo — Jung Hsi urodziła się w 1943 w Mongolii Wewnętrznej. Rozpoczęła malować mając lat 14. Do Belgii przyjechała ukończywszy lat 21. Tutaj kształciła się w brukselskiej Akademii Sztuk Pięknych. Pracowała też pod kierunkiem malarza De Vos. Wystawiała swe obrazy w kilku krajach europejskich.

Oskar Kokoschka — autoportret

80-LECIE URODZIN OSKARA KOKOSCHKI

■ Oskar Kokoschka, austriacki malarz, grafik i poeta obchodził w dniu 1 marca osiemdziesięciolecie swych urodzin. W latach 1910—1925 był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli ekspresjonizmu w malarstwie i grafice.

Studia artystyczne odbył w Wiedniu, przebywał następnie w Pradze czeskiej. Będąc znanym antyfaszystą nie chciał pozostawać w okupowanej przez Hitlera Czechosłowacji i wyjechał do Anglii, gdzie mieszkał w czasie wojny. Po wojnie osiedlił się w Szwajcarii.

POLONICA

INFELD NA ŁAMACH „KULTURNI TVORBY"

W tygodniku bratysławskim „Kulturni tvorba" (z 5 lutego br.) ukazał się duży fragment wspomnień Leopolda Infelda z jego wydanej w Polsce książki „Kartki z przeszłości". W nocie od redakcji, poprzedzającej druk fragmentu, pomieszczono streszczenie książki, a zwłaszcza tych jej części, które odnoszą się do poznania Einsteina i współpracy z nim. Fragment z książki Infelda, który opublikowała „Kulturni tvorba", dotyczy powrotu autora do Polski i jego pracy przy uruchomieniu katedry fizyki.

O POLSKIM TEATRZE

W kolejnych numerach hamburskiego miesięcznika „Theater heute" (Dzisiejszy teatr) mamy następujące artykuły i reportaże:

w numerze 9 — szkic A. Wirtha o polskiej powojennej dramaturgii, zatytułowany „Dramaty wolności, dramaty władzy"; szkic ten jest pewnego rodzaju wprowadzeniem w tę problematykę i zarazem wstępem do „Tanga", które na tych łamach ukazało się po raz pierwszy.

W numerze 10, Henning Rischbieter, współwydawca czasopisma, pisze w korespondencji z Wiednia o „Dniu gniewu", sztuce R. Brandstaettera (przetłumaczonej przez p. Gerdę Hagenau, rodem z Łodzi!), którą gra do dziś wiedeński Burg (po raz pierwszy wystawiono ją na Festiwalu w Bregenz w ub. roku latem). Niestety, ocena nie jest najlepsza, ale i takie winniśmy przedrukowywać. Oto fragment: „Ambicje sztuki znaczne, intencje uczciwe, ale rezultat katastrofalny" (zarówno autora jak i teatru, to znaczy realizacji).

Wreszcie w numerze 1 (z tego roku) Martin Esslin, wybitny krytyk teatralny, autor książki (słynnej już!) o teatrze absurdalnym, zwierza się ze swoich wrażeń teatralnych z polskich teatrów (nie tylko warszawskich). Większą część poświęca opisaniu warszawskiej inscenizacji „Tanga" oraz inscenizacji „Szewców" S. I. Witkiewicza, w wykonaniu wrocławskiego teatru studenckiego. Wyraża się z uznaniem o grze (....grają z werwą i dojrzałością, co w pewnym sensie nie byłoby do osiągnięcia przez zawodowych aktorów"). Wspominając o dwutomowym wydaniu dzieł S. I. W., jednocześnie żałuje, iż w większości są to utwory dość ekskluzywne (parodia i aluzyjność odnoszące się do polskich klasyków). Gdyby nie to, „ten prawie nieznany wielki poeta satyryczny byłby szczególnie bliski zachodnim dramatopisarzom." W ogóle Esslin wyniósł jak najlepsze wrażenie z podróży teatralnej po naszym kraju.

S. K.

DNI FILMU POLSKIEGO

W Kilonii i Hamburgu odbyły się „Dni Filmu Polskiego". Większość wyświetlanych filmów pochodzi z najnowszej produkcji polskiej i nie była jeszcze wyświetlana na ekranach kin zachodnioniemieckich. Między innymi pokazano „Upał" Kazimierza Kutza, „Salto" Tadeusza Konwickiego i „Pokolenie" Andrzeja Wajdy. „Die Welt" przyniosła z tej okazji wywiad z Konwickim, w którym przeczytaliśmy m. in.: „Francuskiej nowej fali nie ocenia Konwicki zbyt wysoko. Z polskich filmów-mamutów uważa on za najlepszy „Faraona" Kawalerowicza".

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Jeden z moich kolegów na widok trzydziestoletniej, pięknej kobiety, wzruszał ramionami i mówił: ona ma trzysta lat. Po dwudziestce w setki mu się lata u kobiety mnożyły.

A „Ona ma 1000 lat". Nawet jak na moją tolerancję, nieco za wiele. Ale służba nie drużba — zamknąć oczy i.... hop!

Gall Anonim, Długosz, Frycz-Modrzewski — żółtodzioby przy Niej, a cóż dopiero Gałczyński, osesek do entej potęgi.

Otworzyłem oczy i cóż widzę: same młode twarze! Zespół ŁDK, chór ZNP, zespół Studium Kulturalno-Oświatowego i Bibliotekarskiego, zespół Liceum Sztuk Plastycznych, zespół Liceum Muzycznego im. Wieniawskiego, zespół Klubu „Pod Żurawiem", Klub ZPB i chór dziecięcy MDK w znakomicie zakomponowanym programie artystycznym.

Słowo, taniec, pantomima — wszystko grało. Nawet big-beat w wykonaniu sekcji rytmicznej Klubu „Pod Żurawiem" podrywał Jej, wcale jeszcze niezłe nogi. Ma te swoje latka, ale rozumie, że młodym można być zawsze. Ba, w Jej wieku, trzeba.

Uroczysty Koncert Laureatów imprezy „Ona ma 1000 lat" dodał mi sporo otuchy.

WTOREK

Tym razem ZPAF urządził wystawę fotografiki Edwarda Przybyłowicza pt. Impresje holenderskie, w lokalu wystawowym BWA przy ul. Piotrkowskiej 102.

Wystawa niewątpliwie ciekawa i zachęcająca do „podróży", gdyż wiele jest pejzaży, miast, ludzi — rzeczy, na których zatrzymujemy spojrzenie; gdyż wielu jest ludzi oglądających świat (wszyscy?), a mało tych, którzy ratują od zapomnienia istotę rzeczy ujawnioną niekiedy w krótkim błysku światła i cienia.

Podróżujmy zatem przez świat z otwartym obiektywem oczu.

ŚRODA

W związku z wtorkiem: Łódzki Ośrodek Informacji Turystycznej podaje: „W całym kraju przy różnych placówkach turystycznych istnieje 1.000 (tysiąc — jak to się ładnie składa) punktów udzielających wyczerpujących informacji turystycznych, w zakresie noclegów, wyżywienia, komunikacji, rozrywek, zwiedzania różnych obiektów turystycznych itp.".

COIT ogłasza konkurs na slogan popularyzujący informację turystyczną. Szczegółów nie podaję, ale nagrody: 1.500, 1.000 i trzecia 500 zł.

Wyjątkowa okazja do potrenowania skrótu poetyckiego. Lirycy na szlak!

CZWARTEK

A swoim szlakiem to mamy ich (liryków) pod dostatkiem w kraju. Boć każdy, w samej rzeczy, to znaczy w głębi utajonej ducha, a niekiedy i trochę wyżej jest poetą sam w sobie. Zacni mecenasi trudzą się, a pocą, żeby wydobyć „to granie", które wypomina mi w „Odgłosach" czcigodny Ćwiek.

Jan Koprowski powiedział, że aktor jest solą teatralnej ziemi; pięknie powiedział, a ja mówię, że poeta jest solą literackiego nieba i też chyba zgrabnie wyszło.

Wiosna idzie. Poeci dochodzą do pozycji książkowej i nie ma co dzielić włosa na czworo. Była jesień, będzie lato, a tymczasem wielka obfitość konkursów spełniających niewątpliwie pożyteczną rolę poetyckiego sita, na którym już niejednokrotnie pozostawały szlachetne kamienie.

Tradycyjna już w Łodzi, bo VIII, Wiosna Poetycka w Stowarzyszeniu PAX niebawem. Organizatorzy przesłali tekst komunikatu konkursowego, który z konieczności podaję w dużym skrócie: W konkursie może wziąć udział każdy poeta, który do chwili ogłoszenia konkursu nie wydał jeszcze pozycji książkowej. Termin nadsyłania prac upływa 1. IV. br. Prace nie przekraczające 10 stron maszynopisu powinny być nadsyłane na adres: Oddział Stowarzyszenia PAX w Łodzi, ul. Piotrkowska 49.

Sądzę, że bliższych informacji można zasięgnąć: tel. 383-25.

PIĄTEK

Teatr Powszechny w Łodzi pojechał do Lublina i święci tam triumfy. Sztuka Shimona Wincelberga pt. „Kataki czyli Wróg" w reżyserii Romana Sykały oraz aktorstwie Czesława Przybyły i Michała Szewczyka bardzo podobała się lubelskiej publiczności i prasie. Recenzenci wysoko oceniają walory sztuki jak również „dużej klasy aktorstwo kierowane doświadczoną ręką reżysera".

A nie mówiłem: „si vis pacem para bellum".

SOBOTA

Każdy łodzianin członkiem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych! Każdy członek Towarzystwa przyjacielem sztuk pięknych! A piękna sztuka, to nie tylko to, co nam się podoba. Do odczuwania, a tym bardziej rozumienia piękna, dorasta się jak do długich spodni. Trzeba rozwijać i kształcić w sobie umiłowanie a tym bardziej rozumienie sztuki (pięknej) jak kształci się węch, smak, słuch a nawet dotyk. Cóż może wiedzieć o smakach a tym bardziej gatunkach win człowiek, który tylko porzeczkowe spijał. Pijaństwo rzecz niegodna, lecz godzi się znać przedmiot swego umiłowania i wypada widzieć chociaż dwie wystawy w życiu, nim się potępi legendarne picassy.

Towarzystwo Sztuk Pięknych upowszechnia, propaguje a tymże sposobem i tłumaczy, kształci smak, poczucie piękna w „narodzie", organizuje wystawy malarstwa (kuluary Teatru Nowego, Klub MPiK, w planie kawiarnia „Balaton"), a nawet prelekcje itp. Do chwili obecnej zorganizowano siedem wystaw, do końca roku trzydzieści. Plany ambitne, środki niewielkie; niemniej jednak zarząd Towarzystwa z mgr Tadeuszem Telną na czele nie ustaje w zapale. Cześć pracy!

NIEDZIELA

Żubro-krowa urodziła się w chłopskiej oborze. To ci heca. Ece... co za heca. Po prostu Jurkowo leży na skraju puszczy boreckiej, w której biega na wolności stado żubrów.

A jakby tak skrzyżować malarstwo z poezją?

Z. Załuska

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

RAY BRADBURY

ILUSTROWANY CZŁOWIEK

Ilustrowanego Człowieka spotkałem wczesnym ciepłym wieczorem na początku września. Szedłem asfaltową szosą. Był to ostatni odcinek mojej dwutygodniowej włóczęgi po stanie Wisconsin. Było już dość ciemno, kiedy się zatrzymałem i postanowiłem spędzić tu noc. Przyrządziłem sobie posiłek, zjadłem i położyłem się na ziemi. I dopiero teraz zauważyłem, że na wzgórze wszedł Ilustrowany Człowiek. Stał tak chwilę niczym wyrysowany na jasnym niebie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że on jest — ilustrowany. Zauważyłem tylko, że jest wysoki i kiedyś prawdopodobnie był dobrze zbudowany i muskularny, a teraz nie wiadomo dlaczego stał się otyły. Pamiętam, że ręce miał długie, a pięści — jak odważniki, duży był i ciężki, ale twarz miał jak u dziecka. Widocznie wyczuł moją obecność, bo zaczął mówić nie spojrzawszy jeszcze na mnie:

— Nie wie pan przypadkiem, gdzie mógłbym znaleźć pracę?

— Nie wiem — odparłem.

— Już czterdzieści lat nie mogę znaleźć stałego zajęcia — poskarżył się.

Mimo upału nosił na sobie zapiętą na wszystkie guziki wełnianą koszulę. Nawet rękawy były zapięte. Rękawy obciskały potężne przeguby. Pot ściekał mu po twarzy, a on nawet kołnierzyka nie rozpiął.

— No cóż — powiedział po chwili milczenia — niezłe miejsce, można tu przenocować. Będę panu towarzyszył, dobrze?

— Proszę bardzo. Może jest pan głodny? Mam jeszcze trochę jedzenia.

Ciężko, z chrzęstem, opadł na ziemię.

— Będzie pan żałował tego, że mi pozwolił zostać z sobą — powiedział. — Wszyscy żałują. Dlatego jestem włóczęgą. Na przykład teraz — jest początek września, Święto Pracy — najprzyjemniejszy czas. W każdym miasteczku jest zabawa, ludzie weselą się, mógłbym zarobić dużo pieniędzy, a ja siedzę i na nic nie czekam.

Zdjął z nogi olbrzymi but i przymrużywszy oczy zaczął mu się przyglądać.

— Nie mam szczęścia. W każdej pracy utrzymam się tylko tydzień albo dwa. A potem wypędzają mnie do diabła!

— Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi wolno rozpiął koszulę. Włożył rękę w zanadrze i ostrożnie zaczął siebie dotykać. Miał przymknięte oczy.

— To dziwne — powiedział wciąż jeszcze nie otwierając oczu. — Na dotyk są zupełnie niezauważalne. A mimo to one są. Mam jednak nadzieję, że pewnego dnia spojrzę — i więcej ich nie zobaczę! Całymi dniami w największe upały chodzę i myślę sobie: a może pot je zmyje, albo skóra zejdzie razem z nimi. Jednakże wieczorem, kiedy oglądam siebie — one ciągle są. — Mężczyzna zwrócił głowę w moją stronę i rozchylił koszulę na piersi. — Czy są?

Nie od razu udało mi się złapać oddech.

— Tak — odparłem — są.

Ilustracje.

— Jest jeszcze jeden powód, dla którego zapinam koszulę aż pod samą szyję — powiedział otwierając oczy. — Dzieci biegają za mną. Zresztą wszyscy chcą zobaczyć jak jestem wytatuowany.

Zdjął koszulę i zwinął ją w kiębek. Był cały w obrazkach, począwszy od niebieskiego pierścienia wytatuowanego dokoła szyi — aż do pasa.

— Dalej też to samo — rzekł odgadując moją myśl. — Jestem cały pokryty ilustracjami. Proszę popatrzeć.

Otworzył dłoń, na której znajdowała się róża — dopiero ścięta, z kryształowymi kroplami rosy między delikatnymi różowymi płatkami. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej, ale to był tylko obrazek.

Siedziałem i patrzyłem na niego jak zaczarowany. Nie było na nim ani kawałka żywego miejsca, wszędzie tłoczyły się rakiety, fontanny, ludzie — tłum ludzi. Wszystko to było splątane, zagmatwane, jaskrawe i żywe z uwzględnieniem nawet najmniejszych drobiazgów, i wydawało się, że słychać ciche, przygłuszone rozmowy, rozmowy tej niezliczonej ilości ludzi. Wystarczyło tylko, że Ilustrowany Człowiek się poruszył, westchnął — drgały wtedy miniaturowe usta, mrugały maleńkie zielone ze złotymi iskierkami oczy, podnosiły się drobne różowe ręce. Na jego szerokiej piersi zieleniły się łąki, błękitniały rzeki, wstawały góry, tutaj też jakby ktoś przesunął Drogę Mleczną — gwiazdy, słońca, planety. A ludziki tłoczyli się grupkami w dwudziestu różnych miejscach, jeżeli nie więcej — na rękach, na plecach i na brzuchu. Oni chowali się w lesie włosów, unosili się wśród gwiazdozbiorów piegów, wyglądali z pieczarpach, a oczy im płonęły. Każdy z nich troszczył się tylko o siebie, był tylko dla siebie, niczym portret w galerii obrazów.

— Jakie piękne obrazki! — wykrzyknąłem mimo woli.

Jak je opisać? Gdyby El Greco w rozkwicie swoich sił i talentu malował miniatury wielkości dłoni, z najmniejszymi szczegółami, w zwykłej swojej żółtozielonej tonacji, z dziwnie wydłużonymi ciałami i twarzami, można byłoby pomyśleć, że to właśnie on swoim pędzlem pomalował mojego nowego znajomego. Kolory płonęły w trzech wymiarach, były jak okna otwarte dla żywego, dostrzegalnego i osiągalnego świata, oszałamiającego swoją realnością. Tu, zebrana na jednej ścianie, błyszczała cała wspaniałość wszechświata; człowiek ten był żywą galerią arcydzieł. Autorem tych obrazów nie był jakiś jarmarczny pijak, zajmujący się wykonywaniem tatuaży, malujący wszystko w trzech kolorach. Nie, to było dzieło prawdziwego geniusza, wzruszające, doskonałe piękno.

— Tak! — powiedział Ilustrowany Człowiek. — Jestem do tego stopnia dumny z tych obrazków, że chętnie bym je wypalił. Próbowałem już kwasu i noża...

Słońce zachodziło. Na wschodzie ukazał się księżyc.

— Widzi pan — rzekł Ilustrowany Człowiek — one przepowiadają przyszłość.

Milczałem.

— W dzień, przy świetle to jeszcze nic — mówił dalej — wtedy mogę się pokazywać ludziom. Ale nocą... wszystkie obrazki się poruszają. Zmieniają się.

Widocznie mimowolnie się uśmiechnąłem.

— Kiedy pana tak wymalowano?

— W tysiąc dziewięćsetnym, kiedy miałem dwadzieścia lat. Pracowałem wówczas w wędrownym cyrku i złamałem nogę. Musiałem przecież jakoś zarabiać, a ponieważ już do poważniejszych sztuk się nie nadawałem, pozwoliłem się wytatuować.

— Kto pana wytatuował? Co się stało z tym mistrzem?

— Ona wróciła do czasu przyszłego — padła odpowiedź. — Ja wcale nie żartuję. To była stara kobieta. Mieszkała w stanie Wisconsin, niedaleko stąd znajdował się jej domek. To była czarownica, czasem wyglądała na tysiąc lat, a czasem tak, jakby miała lat dwadzieścia nie więcej, ale ona mi powiedziała, że umie podróżować w czasie. Śmiałem się wtedy. Ale teraz mi nie do śmiechu.

— Jak doszło do spotkania z nią?

I opowiedział mi jak było. Pewnego razu zobaczył przy drodze napis: RYSUNEK NA SKÓRZE! Nie tatuaż, a rysunek! Prawdziwa sztuka! I całą noc siedział i czuł jak czarodziejskie igły kłują go i żądlą niczym osy i delikatne pszczoły. A rano był tak wielobarwny i wzorzysty, jakby go przepuścili przez prasę drukarską, drukującą rysunki w dwudziestu kolorach.

— Już pół wieku każdego lata jej szukam — powiedział i potrząsnął pięścią. — Jak ją znajdę — zabiję!

Słońce zaszło. Błyszczały pierwsze gwiazdy. Świeciły się pod księżycem trawy i pszenica w polach. A obrazki na tym dziwnym człowieku wciąż jeszcze płonęły w zmierzchu, jak rozpalone węgle, jak rozrzucone garście rubinów i brylantów. I były tam barwy Picassa i wydłużone płaskie ciała El Greco.

— Tak, kiedy moje obrazki zaczynają się poruszać, ludzie mnie wypędzają. Nie lubią gdy na nich odtwarzają się różne przedziwne rzeczy i zdarzenia. Każdy taki obrazek to opowieść. Wystarczy kilka chwil patrzenia nań — i wtedy on wam wszystko opowie. A w ciągu godziny nawet dwadzieścia różnych historii można zobaczyć, to dzieje się na mnie, i głosy także można usłyszeć, a potem człowiek zostaje sam i długo myśli... Wszystko to znajduje się tu na mnie i tylko czeka, by pan zechciał popatrzeć. Mam takie jedno miejsce — Ilustrowany Człowiek odwrócił się plecami. — Widzi pan? Na prawej łopatce znajduje się coś nieokreślonego.

— Widzę.

— Wystarczy jeżeli pobędę z kimś trochę dłużej. Natychmiast zaczyna pojawiać się rysunek. Jeżeli obok jest kobieta, po godzinie ukazuje się jej portret i można zobaczyć poszczególne etapy jej życia: jak będzie żyła, jak umrze, jak będzie wyglądała w wieku sześćdziesięciu lat. A jeżeli to mężczyzna, po godzinie ukaże się jego podobizna: jak spadnie w przepaść, albo zginie pod kołami pociągu. I znowu pędzą mnie na cztery wiatry.

Tak mówił i gładził dłońmi swoje obrazki, jakby poprawiał ramki albo kurz ścierał i wyglądał wtedy jak jakiś kolekcjoner, koneser i miłośnik malarstwa. Potem położył się, przewrócił się na plecy, wielki i ociężały w świetle księżyca. Zapadła ciepła noc. Duszno było, bez wiatru. Obaj leżeliśmy bez koszul.

— I nie znalazł pan tej starej kobiety?

— Nie.

— Sądzi pan, że ona przybyła z przyszłości?

— Pewnie, bo inaczej skąd by znała te różne historie, które na mnie wymalowała?

Zmęczony zamknął oczy. Powiedział cicho:

— Czasem nocą czuję je, te obrazki. Pełzają po mnie jak mrówki. Wtedy wiem, że robią swoje. Więcej na nie nie patrzę. Staram się chociaż trochę odpocząć. Przecież ja prawie nie śpię. Dobrze panu radzę, jeżeli pan chce zasnąć; proszę na mnie nie patrzeć i odwrócić się ode mnie.

Leżałem w odległości trzech kroków od niego. Nie wyglądał na szaleńca i był bardzo ciekawie pomalowany. W przeciwnym wypadku nie słuchałbym jego gadania i postarałbym się go pozbyć. Ale te obrazki... Nie mogłem się na nie napatrzeć. Zresztą każdy by dostał bzika, gdyby go tak pomalowali.

Noc była cicha, księżycowa. Słyszałem jak on oddycha. Gdzieś, zupełnie blisko w parowie słychać było świerszcze. Leżałem tak, żeby widzieć obrazki. Minęło chyba pół godziny. Nie wiedziałem czy Ilustrowany Człowiek zasnął, ale nagle usłyszałem jego szept:

— Poruszają się?

Popatrzyłem chwilę i powiedziałem:

— Tak.

Obrazki poruszały się, każdy sobie, każdy pokazywał coś. W świetle księżyca tu na tym człowieku rozgrywały się małe tragedie, cicho dźwięczały myśli i niby daleki przypływ pluskały głosy. Nie potrafię powiedzieć jak długo to trwało. Wiem tylko, że leżałem jak zaczarowany, w bezruchu póki gwiazdy odbywały swoją drogę po niebie...

Ilustrowany Człowiek poruszył się. Potem zaczął kręcić się we śnie i przy każdym ruchu widziałem nowy obraz — na plecach, na ramieniu, na przegubie. Człowiek odrzucił rękę, teraz leżała dłonią do góry, w suchej trawie, na którą jeszcze nie padła poranna rosa. Palce rozkurczyły się i na dłoni ożył jeszcze jeden obrazek. Człowiek przeciągnął się i na jego piersi zobaczyłem czarną pustynię, głęboką, bezdenną przepaść — tam błyszczały gwiazdy i pośród gwiazd coś się poruszało, coś padało w czarną przepaść; patrzyłem, a ono wciąż padało...

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

CZY BEFSZTYK NIE BYŁ ZA TANI?

Nie tylko tramwaje i autobusy miejskie mają tendencję do łączenia się w stada: tę samą naturę wykazują również tematy publicystyki gospodarczej. Ktoś nagle rzuci słowo — zaklęcie, słowo — klucz, i już rusza armia komentatorów, tych co wiedzą lepiej, tych co dawno wiedzieli, tych co dziwią się, że można było nie wiedzieć.

Ostatnio jednym z takich najmodniejszych zaklęć jest analiza rynku. Mądra rzecz. Wszystko byłoby cacy, gdybyśmy tę rzecz opanowali. Jeśli jest za mało cielęcej wątróbki w sklepach, to właśnie dlatego, że nie przeanalizowano, ile powinno być. Jeśli fartuszki dziecięce szyje się z ciemnoszarej rogoży, to tylko z powodu braku rozeznania, w czym jest dzieciom do twarzy. Bigos za kwaśny? A kto powiedział zacnym gastronomom, ile jednostek kwasowości najchętniej absorbuje trzustka masowego konsumenta?

Analizować, analizować, panowie! W czasie Targów Krajowych w Poznaniu rozdawano, gdzie się dało, ulotki: czy smakował ci befsztyk hamburski? Czy uważasz, że był za tani (tak, za tani)? Za mało, czy za dużo pieprzu? Pieprzyć więcej, czy płacić więcej?

Które z tych bucików podobały się pani najbardziej? Proszę odpowiedzieć. Za odpowiedź płacimy szansą wylosowania premii. Więc panie piszą byle co — co to szkodzi, bucików i tak nie kupują, kozaczki najładniejsze, chcemy kozaczki. Analitycy sumują pięć tysięcy odpowiedzi, obliczają procenty, wskaźniki, befsztyki. Wychodzi, że co trzeciej pani podobały się kozaczki, co trzeciemu panu — befsztyk hamburski. W Polsce żyje dziewięć milionów pań. Należy przeto „rzucić na rynek" trzy miliony kozaczków. Oczywiście, kosztem czółenek, botek, kamaszków i kaloszy. Będzie ślicznie. Befsztyki hamburskie opanują zbiorowe żywienie — chcecie, no to macie. Była analiza, mamy podkładkę, planujemy na realnych przesłankach.

I jakoś nie wychodzi. Ta analiza. Dlaczego, dlaczego nie wychodzi?

Sondowanie opinii poprzez ankiety typu: co się wam podoba?, pozwala na wnioski tylko wtedy, gdy zapytany może wybierać jedną z wielu możliwości. Można zapytać: czy wolisz kupić spodnie czarne czy szare, jeśli i te i te są na rynku. Jeżeli są tylko szare, to każdy ankieter napisze, że chciałby czarne, takie jak w komisie, a to wcale nie znaczy, że trzeba wszystkie szare zastąpić czarnymi. Niejasne?

No to jaśniej: przez wszystkie sklepy na Piotrkowskiej przewędrowała mamusia, szukająca płaszcza dla córki. Nietypowej, bo u nas typowe są tylko modelki Telimeny. Mamusia jest naiwna i uparta, w każdym sklepie wpisuje w książkę życzeń swe najgorętsze życzenie: płaszcz dziewczęcy numer ileś tam. Analityk sumuje ankiety: ogromny popyt na płaszcze dziewczęce numer ileś tam! Cała Łódź, jak długa i szeroka, szuka takich płaszczy! Rewidujmy rozmiarowzrosty!

Oczywiście, nikt niczego nie zrewiduje, to tylko taki przykład, że za szybko uogólniać nie wolno. A za wolno też nie wolno. A w ogóle w nic lepiej nie wierzyć. Bo i to wiadomo, że zapotrzebowania kierowników sklepów wcale nie muszą zgadzać się z potrzebami klientów. Od lat już kierownicy sklepów nie chcą na przykład bamboszy. A to nieprawda, że rynek ich nie potrzebuje. Kierownicy ich nie potrzebują, bo za tanie, człowiek się tylko napracuje, a obrót z tego żaden: czyli — handlowcy detaliczni też nie dają podstaw do należytego zaprogramowania produkcji, bo ich najważniejszym interesem nie jest zaspokojenie potrzeb tak zwanych szerokich mas.

Dopóki nie było cytryn na rynku, żaden cadyk nie wiedział, ile ich powinno być. Teraz są. Dopiero teraz wiadomo, że dziesięć tysięcy ton, to za mało, a dwadzieścia — za dużo. Ot i macie pierwsze prawo analizy rynku: najpierw podaż, a potem badanie granic popytu. Profesor Welfe w dziele „Podaż i popyt" formułuje odnośne prawa inaczej. Zaszyfrowuje je w arcytrudne wzory matematyczne, w całą ezoteryczną, skomplikowaną wiedzę dla trzech wtajemniczonych. Praktycy tymczasem wysilają się jak mogą, marnują papier na niemądre ankiety, płacą po czterdzieści złotych za jeden głos w ankiecie (autentyczne! mogę dowieść!) — nie, nie wychodzi.

Zanadto się chyba spieszymy, zanadto wierzymy w automatyczne działanie formułek i wzorów. Potrzeby rynku też nie wyskoczą jako niewzruszona, obiektywna cyfra, po zakręceniu korbką multiplikatora. Coś do tego trzeba dodać.

Ale co?

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 659 III. 66. E-2